Wpisano do kontroli prasy
i Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
do 19 III 19

Cena 15 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 19 marca 1947 r. Nr 11 (80)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

JEDYNIE SPOŁECZEŃSTWO PRZYNOSI JEDNOSTCE W DARZE WSZYSTKIE JEJ WYMIARY.

Roger Garaudy

TREŚĆ NUMERU:

LEON GOMOLICKI — DWIEŚCIE LAT POEZJI ROSYJSKIEJ
KAZIMIERZ BRANDYS — ROZMAITOŚCI
ADAM SCHAFF — BEZDROŻA PSEUDOHUMANIZMU
JULIAN PRZYBOŚ — CZAS NA REWOLUCJĘ KULTURALNĄ
W KRAJACH POKONANYCH
JERZY ŚLADKOWSKI — NIEMCY ODRODZONE
S. M. JĘDRZEJOWSKI — AUSTRIA DZISIEJSZA
RYSZARD LANDAU — TRUDNE MIESIĄCE WŁOCH
STANISŁAW DYGAT — HOTEL METROPOLE
STANISŁAW ŚRENIOWSKI — PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA HISTORYCZNEGO ZA ROK 1946
JERZY POMIANOWSKI — MOSKWA — RYGA — KRÓLEWIEC
ALFRED KRYGIER — TUR i PPS ODPOWIADA PROF. OSSOWSKIEMU
KANDYD — TAK SIĘ TOCZY ŚWIATEK
PRZEGLĄD PRASY
KORESPONDENCJA
NOTY

LEON GOMOLICKI

DWIEŚCIE LAT POEZJI ROSYJSKIEJ*)

Aleksander Puszkin

Michał Łomonosow (podług miedziorytu E. Fessara).

Poeta-dekabrysta K. Rylejew (akwarela O. Kiprienskiego).

1.

JUŻ PUSZKIN utrzymywał, że początkiem poezji rosyjskiej są sylabiczne wiersze Kantiemira. Jako rosyjski poseł we Francji — w czasach, gdy Rosją rządzili faworyci, a caryca zajmowała się maskaradami i intrygami dworskimi — Kantiemir w swym gabinecie poselskim miał na półkach Juvenala, Rousseau i Locke'a, tłumaczył Horacego i spotykał się w Paryżu z Monteskiuszem i Fontenellem. Jego barbarzyńskie trzynastozgłoskowce nie były jednak pierwszymi wierszami rosyjskimi. Pierwsze rosyjskie utwory poetyckie nazywały się „wirszy" — od polskich „wierszy". Powstały one w czasie gdy tworzył Rej, pod wpływem poezji polskiej, na jej wzór pisane były sylabicznymi jedenasto- i trzynastozgłoskowcami. Najwybitniejszy rosyjski poeta sylabiczny, Symeon Połocki, był współczesny Wacławowi Potockiemu. W 1795 roku faktor hrabiego Musina - Puszkina, zbieracza dawnych rękopisów, nabywając od mnichów z klasztoru Jarosławskiego stary manuskrypt „Słowa o pułku Igora", sam nie wiedząc o tym, przesunął początek rosyjskiej poezji pisanej aż do XII wieku, i gdyby liczyć wiek poezji rosyjskiej od powstania tego pierwszego znanego nam utworu, to rozszerzyłby się on nie na dwa ani trzy, lecz przynajmniej na ośiem stuleci.

Dwieście lat temu kwitła w Rosji poezja dworska, w której niebezpieczny dla tronów wiek Oświecenia przysypany był złotym pudrem francuskiego rokoko. Lecz właśnie w roku 1747 Łomonosow napisł odę na intronizację carycy Elżbiety. Nie była to pierwsza oda Łomonosowa, a także i nie pierwsza oda rosyjska, ale dzięki jej osobliwemu, niespokojnemu brzmieniu — po rosyjskim, sztucznym, klasycystycznym ogrodzie przemknął powiew poezji. Idąc za radą Boileau, który dla tym większego piękna ody zalecał dysharmonię lirycznego nieładu — Łomonosow pozwolił sobie na połączenie zwykłego dworskiego panegiryku z namiętną apoteozą Oświecenia. Przekonuwująca intonacja rytmiki, to przyśpieszonej aż do zaparcia tchu, to znów zahamowanej, ważącej każde słowo — wytworzyła ów głęboki liryczny oddech, który od tego czasu stale towarzyszył poezji rosyjskiej.

2.

Rosyjska poezja wieku XVIII żywiła się obcą książką a lud dostrzegała przez okno ziemiańskiego dworu. Pierwszy poeta, który osiągnął doskonałość w małych rodzajach poetyckich, jedyny przedstawiciel rosyjskiego baroku, Dzierżawin opisywał życie ludu w podpatrzonych rodzajowych scenkach wiejskich. Dworak z czasów Pawła I, Nielediński - Mielecki imitował w swoich piosenkach melodie podsłuchane w izbie czeladniczej. Profesor uniwersytetu moskiewskiego na katedrze „rosyjskiego krasomówstwa, wersyfikacji i języka", Merzlakow, stał się twórcą „romansu mieszczańskiego" — piosenki sentymentalnej. „A la moujik" pisali również romantycy, pozostający w drobnych rodzajach lirycznych w zakresie wpływów francuskiego rokoko. Naśladował pieśń ludową przyjaciel Puszkina Delwig i inni. W tym czasie ukazały się pierwsze śpiewniki, poprzedzone zbiorem mitycznego Kirszy Daniłowa. Sztuczna pieśń szła z powrotem do mas ludowych i adoptowana przez nie traciła swoje signum autorskie. Tego, że „Pszczółkę" napisał Dierżawin, a „Czerwony sarafan" Cyganow, lub „Wyjdu i ja na rieczenku" Nielediński - Mielecki — nikt nie pamiętał. Mimo to rozpowszechnienie piosenek nie nadawało im jeszcze cech autentyczności. Tym bardziej chybione były próby odtwarzania epickiej poezji ludowej. Świadczą one najwyżej o mistrzostwie stylizatorskim poetów.

Jednocześnie lud wyłaniał ze swego środowiska poetów „samorodnych", którzy usiłowali naśladować poezję „uczoną". W XVIII wieku pisali oni niefortunne ody wiernopoddańcze, za które dostawali od cara medale lub inne odznaki. Poprzez nich lud skwitował się ze szlacheckimi stylizatorami swoich pieśni.

Chytry kmieć Alipanow, jeden z takich „samorodnych" poetów, który za czasów Puszkina „odrabiał" literaturę w swoich kapitalnych wierszydłach, pełnych zefirów i amorków, przedstawiał „szczęście — radość" pańszczyźnianych kmiotków pod „czułą" opieką dobrych dziedziców. Ten sam Alipanow założył własną drukarnię, gdzie wydawał swoje utwory od razu w „drugim" nakładzie.

Oderwana od żywiołu ludowego liryka rosyjska dąży od połowy wieku XVIII do wyrobienia języka literackiego. W tym celu musiała ona zejść ze szczytów klasycznej retoryki i wprost z barokowego parnasu trafiła do salonów wolnomyślicieli. Łomonosow stworzył teorię trzech stylów poetyckich. Jeden z nich miał być stylem wzniosłej ody. Ody Łomonosowa, pisane ujętym w kanony „wysokim stylem" pomimo to zachowały dla nas swój urok. Puszkin ubrał muzę w czepiec swojej starej mamki. Niekrasow wprowadził do swych wierszy język kronik dziennikarskich. W poezji jego urzeczywistnia się nieomal połączenie stylu poezji ludowej ze stylem poezji intelektualnej. Majakowski budował poetykę na zasadach umasowienia sztuki, wulgaryzował język i chwyty poetyckie... To były główne etapy, na których powstawała obfita i wspaniała w swoim rozkwicie liryka rosyjska.

3.

Pierwszy rosyjski poeta społeczny, Radiszczew był współczesny Dierżawinowi. Oda Radiszczewa „Wolność", którą naśladował Puszkin w latach młodzieńczych, ukazała się w książce natychmiast spalonej przez Katarzynę. Poezja Radiszczewa była jeszcze radykalniejsza od jego prozy. Katarzyna w „notatkach" swych o książce Radiszczewa wspomina o jego odzie w ten sposób: „Oda jest wyraźnie buntownicza, carom grozi szafotem, przykład zaś Cromwella przytoczony jest w sensie pochlebnym". Opisując publiczne stracenie Karola Stuarta I, Radiszczew woła: „Za mało jest jednej śmierci za to... więc umieraj, umieraj po stokroć..."

Radiszczew był prekursorem rewolucjonistycznej twórczości poetów - dekabrystów. Rylejew zwłaszcza jest nie do pomyślenia bez ody „Wolność". Ale pomiędzy Radiszczewem a dekabrystami stoi jeszcze grupa „wostokowców" (z „Wolnego Towarzystwa Miłośników Poezji „Wostokowa) z Pninem na czele, który polemizował w swoich humanistycznych odach z poezją dworskiego oświecenia. Oda Pnina „Człowiek" wymierzona była wyraźnie przeciwko odzie Dzierżawina „Bóg" — w obronie praw człowieka. Poezja Pnina ma tendencje agitacyjne, odbiegające od dekoracyjnego stylu ówczesnej ody. Jest ona przejściem do tonacji oratorskich i retorycznego patosu wierszy Rylejewa.

Listę ofiar despotyzmu uzupełniły nazwiska dekabrystów. Rylejew został powieszony, Kuchelbecker, Odojewski, Rajewski i inni złamani zesłaniem. Oderwanie polityczne od rzeczywistości skazało tych poetów na ogólnikowość i programowy pesymizm. Ideał przerastał nie tylko rzeczywistość, ale również i możliwości potencjonalne marzycieli - rewolucjonistów. Idąc pod armaty mikołajowskie, Rylejew nie wierzył w wynik powstania. W pokoleniu dekabrystów najbardziej optymistyczna była poezja młodzieńczych przyjaciół spiskowców: Puszkina, Wiaziemskiego i Jazykowa. Kuchelbecker, który żądał dla tematów społecznych patosu ody klasycznej, jak również złamany zesłaniem Odojewski bardzo łatwo ulegli refleksji wyrażającej rozczarowanie. Natomiast Rajewski zasklepił się w szablonach retorycznych, dając początek bladej poezji idealistycznej. Poezja ta sączyła się wątłym strumykiem aż do czasów Nadsona, do dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia, do pierwszych symbolistów, którzy debiutowali najczęściej jako autorzy wierszy społecznych.

4.

Rolę romantycznej egzotyki kolonialnej odegrał w poezji rosyjskiej Kaukaz. Rząd carski rozpoczął ujarzmianie tego wolnego kraju bezpośrednio po wojnach napoleońskich. Byroniczny poemat znalazł dla siebie obfitą pożywkę w surowych obyczajach i w bohaterskiej walce kaukaskich górali. Pierwszy poeta, który potrafił odsłonić prawdziwy sens tej wojny, poznał ją jako żołnierz batalionu karnego. Był to Poleżajew, ukarany w ten sposób za młodzieńczy poemat o wolnych obyczajach studenckich W okrutnych warunkach życia wojennego, dojrzewała muza zdeklasowanego poety. Poezja Poleżajewa znajduje

*) Fragmenty przedmowy do antologii poezji rosyjskiej, która ukaże się niebawem nakładem „Czytelnika".

swój patos przez przeciwstawienie się poezji puszkinowskiej. Realizm Poleżajewa po raz pierwszy wypełnia lirykę akcentami społecznymi, podczas gdy realizm romantyków prawie że nie dotknął poezji intymnej. Protest polityczny, antyszlacheckie nastawienie, napięcie emocjonalne wiersza, tendencje naturalistyczne, wszystko to wskazuje na to, jakie miejsce zajmuje twórczość Poleżajewa jako przejściowy etap pomiędzy poezją dekabrystów a poezją Niekrasowa.

Poleżajew zmarł na suchoty, ukarany chłostą za próbę ucieczki. Los rosyjskich poetów społecznych był posępny i bezlitosny. Nic dziwnego więc, że nie lubili oni bawić się w eksperymenty formalne. Radiszczew nie znosił dekoracyjności. Ironizował, że u Łomonosowa Parnasu strzegą jamby z rymami na warcie. Rylejew głosił wiekuiste znaczenie poezji, która powinna stać ponad kierunkami literackimi i nawoływać do urzeczywistnienia ideałów, czyli „wzniosłego uczucia, myśli i prawd odwiecznych, zawsze drogich ludziom i nigdy przez nich nie zgłębionych". Słowa Rylejewa „obywatelem jestem nie poetą" Niekrasow pogłębił, twierdząc: „poetą możesz nie być, lecz obywatelem być musisz". W warunkach ówczesnych usiłowanie połączenia obowiązków poety i obywatela staje się główną tragedią twórczości Niekrasowa.

Niekrasow reprezentował ten odłam szlachty rosyjskiej, który świadomie opuścił swoją klasę, idąc za głosem sumienia. „Pokutujący szlachcic", Niekrasow szukał prawdy wśród uciemiężonego ludu. Blizny na ciele jego muzy, o których wspomina w swych wierszach, pochodzą od ciosów zadanych w walce z surową rzeczywistością i z własnym sumieniem. Tym właśnie poezja Niekrasowa różni się zasadniczo od poezji jego poprzedników w dziedzinie twórczości społecznej. Stoją oni nad tłumem, na podium oratorskim, podczas gdy Niekrasow schodzi w dół, na kamieniste bezdroża nędzy ludowej.

5.

Schematyzując, poezję rosyjską można podzielić na trzy zasadnicze okresy: okres pomiędzy Łomonosowem a Puszkinem. Puszkinem a Niekrasowem, i Niekrasowem a Majakowskim. W pierwszym kończy się formowanie rosyjskiego języka literackiego. Okres drugi był etapem fermentacji ideałów społecznych. Realizm i pozytywizm zdeklasowanej inteligencji zastępują romantyzm szlachecki. Po Saint Simonie i Heglu przychodzi materializm Feuerbacha. Następuje rozłam pomiędzy liberalną szlachtą a ludowcami-demokratami. Reforma 1861 roku — zniesienie pańszczyzny — zbankrutowała te zmiany, które już od dawna zaszły w organizmie państwowym: zamiast przymusu feodalnego przychodzi przymus ekonomiczny, burżuazyjny. Wywołuje to zamieszki studenckie i chłopskie ,które zbiegły się z polskim powstaniem 63 roku. Ówczesnego publicystę nurtowało zagadnienie: czy Rosję pociągną przykłady przewrotów gospodarczych Zachodu, czy też pójdzie ona własną, o wiele właściwszą drogą?

6.

Majakowski wyszedł ze środowiska cyganerii moskiewskiej, intelektualistów - anarchistów, którzy buntowali się przeciwko światu mieszczańskiemu. Epatując mieszczuchów, głosili oni skrajny formizm. Majakowski przebył wraz z nimi szkołę postsymbolizmu, obecny był przy narodzinach „samoistnego słowa". Uzbrojony we wszystkie środki techniki stylistycznej, przystępuje on do realizowania wielkiego tematu socjalistycznego. Temat ten budzi się w twórczości Majakowskiego już podczas pierwszej wojny domowej. Ostatecznego rozpędu nabiera jednak w pierwszych dniach rewolucji. Dwa lata pracuje poeta w agencji prasowej Rosta, gdzie rysuje i zaopatruje lapidarnym tekstem rymowanym plakaty wojenne. W okresie budownictwa socjalistycznego Majakowski pisze cykle felietonów lirycznych. Tonacje pamfletu niekrasowskiego zamienia Majakowski na „pełny głos" mówcy wiecowego. W wierszach swoich odrywa on wyrazy jeden od drugiego za pomocą różnych chwytów stylistycznych (inwersja, niespodziane zestawienia słowne, skojarzenia dźwiękowe, kalambury, enjembements ,rozczłonkowanie graficzne linii) w ten sposób, aby padały podobnie jak padają w tysiączne tłumy z trybuny mówcy. Słowo staje się narzędziem walki i kształtowania nowych form życia. Wszystkie znane do tej pory formy i elementy poezji, zaostrzone trafnym dowcipem politycznym, stapiają się z sobą. Wkraczamy tu w dziedzinę nowej poetyki, która zakreśla nieznane dotychczas granice rodzajów literackich, ich zasobów i środków.

7.

Mesjanistyczne nastroje rosyjskie wyrosły z początku jako protest przeciwko pangermanizmowi Hegla. Później pożywką dla nich stała się romantyczna filozofia Schellinga. „List filozoficzny", który Czadajew przypłacił utratą wolności, traktował o społecznym chrześcijańskim posłannictwie Rosji. Słowianofile przeciwstawili kulturze zachodniej rosyjską kulturę, idealizując jej wschodni słowiański pierwiastek. Tiutczew miał oprzeć na tej antytezie swoją pracę publicystyczną. Przy tym zastępował on wyraz Zachód wyrazem Rewolucja. Od wyniku starcia dwóch żywiołów — rosyjskiego Bizantium, ludu prawosławnego — z zachodnim „ateizmem i chaosem buntu" miała zależeć, zdaniem Tiutczewa, cała przyszłość ludzkości. W ślady Tiutczewa poszli mistycy — Dostojewski i Włodzimierz Sołowiew.

W latach dziewięćdziesiątych następuje gwałtowne ożywienie rosyjskiej burżuazji. Wywołuje to rozkwit nastrojów aspołecznych w sztuce. Rozkwit ten poprzedził anemiczny rosyjski parnasizm. Parnasiści rosyjscy wystąpili w połowie wieku pod hasłem „czystej sztuki". Najbardziej charakterystycznymi adeptami tego hasła byli: inicjatorka programowej poezji aspołecznej, Karolina Pawłowa, Apollo Majkow, Fet, a pod koniec wieku ich epigoni — Łochwickaja, Korinfski, Fofanow, Bunin.

W roku 1894 w poezji rosyjskiej nastąpił przewrót. Kilku młodych autorów wierszy „obywatelskich" podniosło bunt przeciw dominancie myśli społecznej w poezji i ogłosiło nowy prąd poetycki — „symbolizm". Zgorszeni rewolucjoniści, uznając ich za „dekadentów", zamknęli przed nimi swoje redakcje. Rozpoczęła się walka. Wspierani przez młodych kapitalistów, w krótkim czasie organizują symboliści własną prasę i opanowują literaturę. Głównym organizatorem rosyjskiego symbolizmu, z początku naśladującego zachodnie wzory, był Briusow, wychowany w środowisku moskiewskiego zacofanego kupiectwa. Naśladowanie Verlaina było dla tego poety protestem indywidualisty przeciwko trywialności i stęchliznie życia mieszczańskiego. Nasiona „Kwiatów zła", które wyrosły na fermentach rozpadającego się burżuazyjnego społeczeństwa zachodniego, hodował Briusow na rodzimych grządkach mieszczańskiego ogrodu. Verhaeren otworzył poecie oczy na wzrastającą kulturę miasta, na młody przemysł rosyjski.

Sztuczność sytuacji spaczyła życie niejednemu moderniście rosyjskiemu. Najciekawszy pod tym względem był Aleksander Dobrolubow, którego Briusow promował na rosyjskiego Rimbauda. Dobrolubow już jako uczeń zachwycał się poezją Rimbauda i Baudelaire'a. Pod ich wpływem przyjął postawę poètes maudites. Otoczył się emblematami śmierci — czaszkami i czernią, pysznił się przed kolegami nałogiem używania haszyszu. Za swoje ekstrawagancje i namawianie kolegów do samobójstwa został wydalony z uniwersytetu. Od tego czasu postępowanie Dobrolubowa traci swoją jednolitość. Poeta dekadent udaje się na północ Rosji i tuła się po wsiach, głosząc wśród chłopów idee Lwa Tołstoja i buddyzm. Tworzy sektę czcicieli szatana i rozdeptawszy gdzieś obraz święty zostaje oskarżony o bluźnierstwo. Aby uratować syna od katorgi, rodzina Dobrolubowa umieściła go w szpitalu dla obłąkanych. Odwiedzał go tam Briusow. Przebywając później w domu Dobrolubow co pewien czas uciekał, włóczył się po całej Rosji, zjawiał się w Moskwie u Briusowych w stroju włóczęgi i pokazywał im swe nowe wiersze, w których modernizm przeplatał się z elementami sekciarsko folklorystycznymi.

Briusow i jego generacja tworzyli symbolizm programowy, oparty na wzorach francuskich. Nastrojom schyłkowym daje prawdziwy wyraz dopiero drugie pokolenie symbolistów. Są to przedstawiciele degradującej się szlachty: Innocenty Annieński, Aleksander Błok i Andrzej Biełyj. Debiut ich zbiega się z rewolucją 1905 roku. W roku 1908 mówi się już o kryzysie symbolizmu. W 1910 jako objaw rozkładu estetyki symbolicznej powstaje „wspaniała prostota" klaryzmu, po którym przychodzą do głosu akmeizm i futuryzm.

W tych szybkich przemianach, przypominających przemiany w XVIII stuleciu, kłębią się w dalszym ciągu koncepcje słowianofilskie. Na tych koncepcjach oparte są apokaliptyczne wizje u Briusowa, Błoka i Białego, ulubione mity poetów chłopskich (między innymi Jesienina) — od postaci męczennika rozłamu cerkiewnego protopopa Awwakuma, do bohaterów buntów chłopskich Pugaczowa i Stieńki Razina. Wiaczesław Iwanow, wielbiciel kultury Bizancjum, uczony poeta archaista, był w płaszczyźnie formalnej wyrazicielem odrębności rosyjskiego Wschodu. Próbował on stworzyć styl liryczny o tendencjach niemalże takich jak u admirała Szyszkowa. Akmeiści wyszukiwali analogie historyczne, znajdując je w przeszłości pogańskiej (Gorodiecki) albo słowiańskiej (Wołoszyn). Przeciwstawianie Rosji Zachodowi odradza się na samym początku rewolucji w wierszach Błoka i Białego („Scytowie", koncepcja Eurazji).

8.

Puszkin nie przyszedł jeszcze na świat, kiedy Schelling zapoznał już Goethego ze swoją filozofią natury. Romantyczny i romansowy filozof przenika do Rosji o dwadzieścia lat później i staje się jedną z jej pierwszych lirycznych miłości. Klęska dekabrystów pchnęła myśl rosyjską w stronę filozofii idealistycznej i mistyki. Poezja również przeżywała kryzys, wywołany bankructwem poematu byronicznego. W wypowiedziach krytycznych odegrały wówczas wielką rolę artykuły Wieniewitinowa, moskiewskiego przyjaciela Mickiewicza, „archiwalnego młodzieńca", „lubomudra" (członka grupy „miłośników mądrości"). Zwolennik Platona, Schellinga i Fichtego, Wieniewitinow jako typowy romantyk szkoły niemieckiej wierzył we wzniosłe powołanie poety i szukał dla literatury ratunku w mglistych teoriach wiekuistego piękna. Lekiem, który jego zdaniem mógłby uzdrowić poezję, miała być dydaktyka w liryce, opartej na filozofii idealistycznej. Teorie te Wieniewitinow głosił na tle nastrojów schyłkowych, które znalazły swój wyraz w elegiach filozoficznych poety Boratyńskiego, opiewającego rozkład i śmierć, podważającego autorytet rozumu.

Teorie Wieniewitinowa w praktyce samego poety dostarczyły wzorów oderwanej liryki psychologicznej, w której wiersze zatracały swoje wyraźne granice, dając początek poezji cyklu elegijnego. Dopiero Tiutczew nadał liryce rosyjskiej kierunek filozofii natury. Będąc w Monachium na placówce dyplomatycznej, Tiutczew znał osobiście Schellinga. Filozofia niemiecka przypadła Tiutczewowi do gustu. Tłumaczyła ona na język metafizyki panteistycznej obawę przed kataklizmami świata, przed rewolucją. Mglista szata liryki filozoficznej równie szczelnie okrywała pańszczyźnianą istotę „czystej sztuki" ziemianina Feta i pasowała doskonale do apokaliptycznej mistyki Włodzimierza Sołowjewa.

Liryka filozofii natury, pogłębiona przez schopenhauerowski panteizm, stworzyła w poezji rosyjskiej mocne tradycje. Na tradycjach tych oparła się druga generacja rosyjskich symbolistów (Błok, Biełyj). Świat Białego, jak w wizji świata Tiutczewa, jest wątłą tkaniną, narzuconą na „chaos szaleństwa" Błok, uwiedziony apoteozą urbanistyczną Briusowa, porzuca swój biały dworek, ucieka do miasta. Tu w otoczeniu wrogiego świata kultury wielkomiejskiej, traci poeta grunt pod nogami, puszcza w niepamięć romantyczną mistykę, zatracając się w hulankach z Cyganami i w pijaństwie. Rewolucja unosi się przed oczami zdeklasowanego poety w kształcie mistycznej wizji Sołowjewa. Błok przeżywa ją żywiołowo: słyszy łoskot walącego się w gruzy starego świata. Lecz wizja ta nie jest niczym więcej niż negacją.

„Pamiętam, w pierwszych dniach rewolucji — pisał Majakowski w nekrologu Błoka — szedłem mijając chudego, zgarbionego żołnierza. Grzał się on przy ognisku rozniecionym przed pałacem Zimowym. Zawołał mnie. Był to Błok. Spytałem go: „Co, dobrze?" — „Dobrze" odpowiedział, a potem dodał: „A mnie bibliotekę na wsi spalili" To „dobrze" i to „spalili mi bibliotekę" — to były dwa sposoby przyjmowania rewolucji. Symbolizm powinien był zdać sobie sprawę z tego, które z tych wrażeń jest w nim silniejsze. Czy ma wysławiać to „dobrze", czy płakać na zgliszczach — Błok w swej poezji nie wybrał". „W nawpół pustej sali — opowiada dalej Majakowski o ostatnim występie Błoka — cichej jak cmentarz, czytał on cichym i smutnym głosem stare wiersze o śpiewach Cyganów, o miłości, o Pięknej Damie — dalszej drogi nie było..." Była to agonia liryki filozoficznej. Zostawiła ona po sobie niełatwy spadek zakrzepłych tradycji stylów górnolotnych nieco i sztucznych. Pierwsi lirycy mocno archaizowali swój język. O Fecie Majakowski powiedział, że „czterdzieści sześć razy używał w swoich wierszach wyrazu rumak, nie zauważywszy ani razu, że dookoła biegają konie".

Do rozbicia tych tradycji powołany był formizm rosyjski, występujący w okresie kryzysu symbolizmu. W Rosji szerzyła się wówczas reakcja po rewolucji 1905 roku. W całym kraju wyrosły szubienice. W życiu powszednim triumfował mieszczański banał. Wyrafinowani esteci szukali schronienia w rosyjskiej wieży z kości słoniowej — w „wieży" Wiaczesława Iwanowa. Tam, w mieszkaniu znakomitego znawcy poezji, teoretyka o wyszukanym smaku literackim, uczonego zwolennika Nietzschego i Włodzimierza Sołowjewa powstało laboratorium stylizacji literackiej. W samym wnętrzu iwanowskiej „wieży" zrodziła się jednak zdrada. Pierwszym odszczepieńcem był Kuźmin, teoretyk i jedyny realizator „wspaniałej prostoty" „klaryzmu". Zaczął on od sławienia odświętnej strony życia, skończył na stylizowanych „bergeretach", do których sam układał sentymentalną muzyczkę. Na połączeniu pasterskiej sielanki z piosenką dziecięcą skończył również jeden z najbardziej konsekwentnych symbolistów „wielbiciel szatana" i kontynuator lirycznego pejzażu Feta, Teodor Sołogub. Było to już w okresie wojny domowej i Nepu i świadczyło o całkowitym rozkładzie symbolizmu.

Teorię „sztuki — radosnego rzemiosła", sztuki omijającej beztrosko realia życia zapożyczali od Kuźmina ci wszyscy, którym nie chciało się, albo nie było wygodnie myśleć. Gusty tej części społeczeństwa znalazły swoich wyrazicieli w ugrupowaniu petersburskim tak zwanych ego-futurystów. Piewcy komfortu restauracyjnego, mieszczańskiego półświatka, modnych gryzetek wulgaryzowali klaryzm Kuźmina. Na czele ich stał Igor Siewierianin, który cieszył się przez pewien czas wielkim powodzeniem na petersburskich estradach.

W płaszczyźnie artystycznej klaryzm znalazł zastosowanie w szkole akmeistów, założonej przez Gorodieckiego. Główny nacisk położyli akmeiści na polemicznej stronie teorii Kuźmina, zwalczając mgliste idee symbolizmu. Mit i transcendentalne słowo symbolistów zostały zastąpione u akmeistów przez konkretność i przedmiotowość. W praktyce akmeizm dążył do udoskonalenia stylu, biorąc za podstawę tradycje formalne symbolistów. Za swego prekursora uważali akmeiści Inocentego Annieńskiego. Odpowiadała im jego skłonność do naturalizmu i stylizowania. Przedmiotowość akmeizmu ujawniła jednak wstecznictwo ideologiczne w postaci: imperialistycznej egzotyki kolonialnej (Gumiłow), ciasnych przeżyć osobistych (Achmatowa), wystylizowanego patosu neoklasycznego (Mandelsztam), apoteozy życia mieszczańskiego (Chodasiewicz), utopijnej fantastyki (Zienkiewicz).

W chwili powstania futuryzmu akmeizm był „ostatnią nowością". Pierwsze zbiorowe wydanie futurystów pt. „Sądź Sędziów" było stopem reminiscencji z Błoka, Briusowa, Sołoguba, z domieszką poètes maudits. Zeszyt ten, wydrukowany na papierze tapetowym, bracia Burlukowie pewnego wieczoru ukradkiem powkładali do kieszeni płaszczy zebranych w wieży Iwanowa poetów. Ugrupowanie futurystyczne „Facjata poezji" na zawsze pozostało na etapie „Sędzia Sędziów". Po rewolucji, w roku 1919 wyłonił się z tej grupy imaginizm (Szerszeniewicz, Iwniew, Marienhof, Kusikow, później — Jesienin), która istniała do roku 1924. Imaginiści opierali swą poetykę na „małej metaforze", lecz w praktyce sprowadzało się to do przesądnego stosowania wynaturzonych i antyestetycznych zestawień obrazowych.

Właściwy futuryzm przyszedł z południa Rosji, gdzie na wiosnę 1912 roku w pobliżu Chersonia w „ojcowiźnie" Burluków zjeścił Chlebnikow. Większość „gilejowców" miała styczność z malarstwem, dlatego też ich podejście do sztuki ułożyło się pod znakiem zagadnień plastycznych. Stąd bierze początek ich skrajny formizm, ich niechęć i nieufność do fabularności w literaturze.

Pierwszymi formistami rosyjskimi byli klasyk Łomonosow i mieszczański romantyk Bieniediktow. Bieniediktow — „rzemieślnik gwoli piękna", zaćmił nawet na pewien czas swoją popularnością sławę Puszkina i debiut Lermontowa. Nie zmieniając tematyki salonowej, przyoblekał nikłą jej treść w formy klasycznego baroku. W ten sposób stawiał Bieniediktow zagadnienie formy w oderwaniu od tego, co ona wyraża. Gilejowcy poszli jeszcze dalej. Oderwali oni dźwięk słowa od treści znaczeniowych, tworząc język pozarozumowy „zaum". Jego teoretyk Kruczonych, uzasadniał konieczność języka pozarozumowego tym, że myśl i słowo nie mogą nadążyć za przeżyciami „wieszcza". Kruczonych doprowadza pozarozumowość do zupełnego rozpadu mowy na dźwięki niemal nieartykułowane. W „zaumi" Kamieńskiego pobrzmiewa jednak melodyka wierszy symbolistów. Jedynie Chiebnikow, przypisując skojarzeniom dźwiękowym znaczenie funkcjonalne, „uzasadnił" lingwistycznie stosowanie wyrazów pozarozumowych.

Sam proces tworzenia wierszy pozarozumowych wyglądał u Chlebnikowa w ten sposób: dobierał on podobnie brzmiące wyrazy, upatrując w nich formy „deklinacji" rdzeni rzekomo wspólnego wszystkim narodom prajęzyka. Na przykład: byk to jest ten, który zadaje ciosy, bok to jest to, co przyjmuje ciosy (byka). Na tej odmianie rdzeni budował takie utwory:

Lasy są łyse.
Lasy wyłosiały, lasy wylisiały...

Co miało znaczyć, że zabrakło w lasach łosi i lisów. Majakowski przeciwstawiał organiczną budowę wierszy Chlebnikowa melodyjności przypadkowych nużących aliteracji Balmonta: „czużdyj czaram czornyj czoln".

Kiedy w roku 1914 do Rosji przyjechał Marinetti, wygłaszając odczyty o futuryzmie włoskim, okazało się jak bardzo futuryzm rosyjski różni się od futuryzmu zachodniego. Futuryzm Marinettiego, który powstał na podłożu ideologii burżuazji imperialistycznej, był zasadniczo obcy anarchistycznej drobnomieszczańskiej buntowniczości gilejowców. Historia udowodniła wkrótce tę różnicę. Futuryzm włoski oddał się na usługi faszyzmowi, z futuryzmu gilejowców wyrosła rewolucyjna postać Majakowskiego.

9.

Doświadczenia futurystów próbowały wyzyskać jako metodę różne ugrupowania literackie. „Centrofuga", założona przez Bobrowa, postawiła sobie za zadanie połączenie „czystej liryki" z technicznymi osiągnięciami kubo-futurystów. Do ugrupowania tego należał przez pewien czas twórca stylu barokowego przeładowanego przenośniami, Borys Pasternak.

W latach 1916—17 ukazały się pierwsze prace zbiorowe Opojazu (Obszczestwo Izuczenija Teorii Poeticzskogo Jazyka), istniejącego już od roku 1914. Prace te dają początek formalizmowi rosyjskiemu. Formalizm był próbą teoretycznego uzasadnienia futuryzmu i ulegalizowania języka pozarozumowego. W krótkim czasie staje się on kierunkiem dominującym. Jego rozkwit przypada na lata 1920—23. Formaliści wzorowali się na pracach teoretyków sztuki Hildebrandta, Worringera, Meyera-Grefe i teoretyków literatury: Walzela, Dibeliusa, Sarana i in. Już w pierwszych swych artykułach formaliści rozpoczynają walkę z symbolistami i historyczną metodą estetyki Wiengierowa. Początkowo przedmiotem ich badań jest strona formalna wiersza, później zajmować ich zacznie architektonika utworu literackiego w związku z jego treścią i analizą procesów twórczych. W polemice z krytyką marksistowską formaliści ustępują ze swych skrajnych pozycji, tworząc teorię błyskotliwe, ale połowiczne i niekonsekwentne. Około roku 1925 kierunek ten wygasa i traci większość swoich adeptów.

W roku 1922 jako antyteza formalnych osiągnięć poezji z tendencją powiązania ich z ideologią budownictwa socjalistycznego, powstaje „konstruktywizm". W kierunku tym dochodzą do głosu pisarze sprzymierzeni z ruchem proletariackim. Ugrupowanie to, do którego należeli Selwiński, Wiera Inber, Bagricki i inni istniało do roku 1930, to jest do chwili przyłączenia się do Rosyjskiego Stowarzyszenia Pisarzy Proletariackich (RAPP).

W roku 1923 Majakowski zorganizował „Lef" — Lewy Front Sztuki. Należeli do „Lefu": Asiejew, Kirsanow oraz przez pewien czas Borys Pasternak. Ugrupowanie to tworzyli futuryści, którzy weszli w szeregi sztuki proletariackiej. Ale, jak powiedział formalista Eichenbaum: „metoda formalistyczna i futuryzm okazały się historycznie ze sobą powiązane". Lefowcy wkrótce skończyli na faktografii i teorii zamówienia społecznego „Syndykat przedmiotowców" rzucił hasło: „nie idea, lecz rzecz rzeczywista jest celem każdej twórczości" (Brik). W ten sposób praca literacka sprowadzała się do zwykłej rejestracji faktów bez selekcji, reporter zaś w hierarchii społecznej użyteczności stawiany był wyżej od pisarza. Mechanistyczne podejście lefowców do twórczości zostało obalone w 1926 roku w polemice, w której wzięła udział cała prasa. „Lef czyli bluff" — w ten sposób zatytułowano jeden z artykułów godzących w to ugrupowanie. Po przystąpieniu Majakowskiego do Stowarzyszenia Pisarzy Proletariackich Lef przestał istnieć.

Celem skrystalizowania sił literatury socjalistycznej i umożliwienia jej normalnego rozwoju, w 1932 roku po rozwiązaniu wszystkich ugrupowań, kół i stowarzyszeń literackich, została utworzona wspólna organizacja — związek pisarzy radzieckich. W organizacji tej zostali zrzeszeni wszyscy pisarze proletariaccy i nieproletariaccy, współpracujący z proletariatem. Za hasło przewodnie został uznany realizm socjalistyczny.

Poezję proletariacką w pierwszych jej etapach przedrewolucyjnych cechowała nieśmiałość. Poetom „Proletkultu", „Kuźnicy" i „Kosmistu" brakowało własnego stylu. Opierali się oni na poetyce symbolizmu, przez swą abstrakcyjność ideowo wrogiej proletariatowi. Tym niemniej utwory poetów proletariackich wyróżniały się na tle innych kierunków bardziej realistycznym ujęciem. Poeci proletariaccy poruszali przy tym tematykę pracy twórczej, podczas gdy inni przyjmowali rewolucję albo żywiołowo, albo wręcz negatywnie. Z końcem wojny domowej i z rozpoczęciem etapu budownictwa socjalistycznego wiąże się zwrot w poezji proletariackiej, rozłam „Kuźnicy"

Mikołaj Niekrasow (podług obrazu I. Kramskoja)

Włodzimierz Majakowski

Edward Bagricki

Wiera Inber

ROZMAITOŚCI

OBCY

Meursault jest urzędnikiem biura okrętowego w Algierze. W przytułku dla starców umiera jego matka. Wzywają go na pogrzeb. Meursault opisuje kostnicę, trumnę i starców czuwających przy zwłokach, dozorcę i dyrektora przytułku, opowiada dokładnie przebieg pogrzebu, notując szczegół po szczególe: pot spływający po czyjejś twarzy, muchy brzęczące pod sufitem, brodawkę na czyimś nosie, zadawane pytania, odpowiedzi. Sam zachowuje się dość tępo: męczy go upał, senność albo pragnienie. Czy cierpi? Nie zwierza się z tym, rejestrując zewnętrzne drobiazgi i najprostsze skojarzenia, jak automat. Nazajutrz po pogrzebie idzie na pływalnię i tam spotyka Marię. Podoba mu się. Spędzają noc. Następnego dnia jest niedziela. Meursault spędza ją sam i obserwuje z okna ulicę: rodziny na świątecznej przechadzce, dziewczęta wracające z kin, sportowcy śpieszący na mecz, tramwaje, latarnie i drzewa. Zapada zmierzch. „Pomyślałem, że oto jeszcze jedna niedziela więcej, że mama jest już pochowana, że jutro znów pójdę do biura, i że w gruncie nic się nie zmieniło".

Meursault zbliża się do swego sąsiada, Rajmunda, który ma kłopoty miłosne. Oszukała go kochanka, Arabka. Skatował ją, wdał się w bójkę z jej bratem. Teraz obawia się zemsty. Meursault słucha jego zwierzeń i notuje je równie automatycznie, jak słowa dozorcy w przytułku czy blask lampy ulicznej o zmroku. Monotonia i sterylność — oto klimat jego przeżyć. W świąteczne przedpołudnie udaje się z Marią, Rajmundem i przypadkowymi przyjaciółmi na plażę. Opisuje gorący, żółty piasek, przyjemny chłód morza i piersi Marii. Słońce rzucało ostry blask. Jedzą śniadanie: chleb był dobry, ryba bardzo mu smakowała. Było także mięso, frytki i kawa. Po tym znowu żółty piasek, morze i gorący, nieznośny blask. Pojawiają się Arabi. Krwawa bójka, której ofiarą pada Rajmund. Arabi oddalają się. Rajmund, pijany, dyszy zemstą. Trzeba mu odebrać rewolwer. Meursault chowa go do kieszeni. Idzie przed siebie po rozpalonym piasku. Jest zapewne w stanie udaru, blask słońca wydaje mu się czerwony, poraża mu myśli. Spotyka Arabów. Jeden z nich wyciąga nóż. Słońce błysnęło na stali. „Wydało mi się, że niebo pękło nade mną, aby wylać ogień na moją głowę. Zacisnąłem rękę na rewolwerze... Wystrzeliłem jeszcze cztery razy do nieruchomego ciała".

Meursault zostaje uwięziony. Sędzia śledczy lituje się nad nim. Ale lituje się jak nad zbrodniarzem, A Meursault jest przekonany, że nic go nie różni od innych ludzi. Kiedy go sędzia pyta, dlaczego zabił, dlaczego strzelał do leżącego — nie umie tego wytłumaczyć. „Znów ujrzałem czerwoną plażę i poczułem na czole palenie słońca". Rozpoczyna się proces. Zeznają świadkowie, oskarża prokurator. Meursault zaczyna rozumieć, że z zeznań i przemówień wyłania się jego obraz, jego postać, widziana cudzymi oczami. Dzień pogrzebu powraca, aby go obciążyć: zachowywał się obojętnie, nie zdradzał żalu, pozwolił matce skonać wśród obcych, w przytułku, nie wiedział nawet, ile miała lat w chwili śmierci. Palił papierosa, pił kawę. Noc po pogrzebie spędził z kobietą. Brał udział w brudnych sprawkach sutenera Rajmunda,

Meursault jest zgubiony. Prokurator roztacza przed sądem wizerunek psychiki zbrodniarza. Meursault słucha tego, jakby dziwnej opowieści o kimś zupełnie obcym, mimo, że wszystkie fakty są prawdziwe. Nie umie skojarzyć siebie, jakim na prawdę był w dniach między pogrzebem a zbrodnią, z tamtym, którego wykryła społeczna ocena czynów ludzkich. Osobiście czuje się podobny do wszystkich innych, społecznie — stał się zbrodniarzem. W sali sądowej jest upał i tłok. Meursault nie stara się bronić. „Pustka w sercu tego człowieka może stać się przepaścią dla społeczeństwa! — woła prokurator. Meursault nie protestuje. Skazują go na śmierć. Ostatnie słowa pisze na krótko przed ścięciem.

Oto treść głośnej książki Alberta Camusa pt. „Obcy" (a nie „Cudzoziemiec", jak tłumaczy w „Odrodzeniu" Zbigniew Rieńkowski). Człowiek jest obcy innym ludziom, nie istnieją między nimi żadne związki prócz przypadkowych zetknięć. Wnętrze ludzkie jest niemal puste Czynności mózgu, libido, najprostsze prawa postrzegania — to wszystko, cały człowiek. Kim jest Meursault? Istotą samotną i równie podobną do innych, jak wszystkim innym obcą, skazaną na swój wzrok, słuch i dotyk, zamkniętą w swej fizjologii, odczuwającą innego człowieka tylko jak kolor, kształt i dźwięk. Meursault nie istnieje społecznie, bo żaden człowiek nie istnieje społecznie, dopóki nie spełni czynu, który domaga się społecznej oceny. Wnętrze ludzkie jest przestrzenią wolną od uczuć socjalnych. Dopiero czyn godzący w porządek wspólnoty stawia człowieka w ostrym świetle praw zbiorowości. Zatomizowany świat luźnych istnień, których wzajemne związki są tylko sąsiedztwem — jest światem danym przez naturę. Ludzie żyją obok siebie, jak małże we wspólnym mule, każda w swej skorupie. O krok od nich szumi groźny odmęt — przestrzeń społecznych norm, w którą ześlizgnął się biedny Meursault, oślepiony słońcem. Nie pozna już siebie: każdy jego gest, każde jego słowo zamienią tam w nieodwracalną funkcję, ułożą z nich nowe istnienie i wymierzą je przeciw dawnemu.

Taka jest filozofia tej powieści. Książka Camusa uzyskała sławę. Jest dziełem wielkiego talentu. Z ostatnich utworów prozy na Zachodzie nie czytałem nic równie sugestywnego w rzemiośle literackim. Oszczędność słowa czasem okrutna. Nieuchwytna poezja przewija się przez najprostsze realia; poezja smutnej jałowości bytu, znużenie słowem, uczuciem, naturą. Oto jeszcze jedna piękna etiuda formalna wynikła z fałszywej wiedzy o świecie.

Bo Camus w swej powieści popełnił jeden błąd, który zapewne wykryje czytelnik-psychiatra. Błąd, który od razu, bez światopoglądowej dyskusji, demaskuje wszystkie fałsze żałosnej filozofii tej książki. Meursault jest schizofrenikiem. Autor z prawd schizofrenii wysnuł prawdy o świecie. Camus jest egzystencjalistą. Czy nie miał słuszności mój przyjaciel, który nazwał egzystencjalizm obroną schizofrenii przed marksizmem?

KAZIMIERZ BRANDYS

I powstanie ugrupowania „Październik", które podkreślało konieczność oparcia twórczości literackiej na nowym realizmie socjalistycznym. Realizm ten różni się od realizmu literatury mieszczańskiej tym, że zamiast krytycznego ustosunkowania się pisarza do wrogiej mu rzeczywistości, twórczość jego stanowi jedną z funkcji budownictwa nowego ustroju.

Jeden z założycieli grupy „Październik", Bezymieński, poeta który wyszedł z komsomołu, pierwszy nadał poezji proletariackiej cechy konkretności. Bohaterem jego jest nie abstrakcyjny proletariusz przez duże P, lecz ściśle określony tokarz Piotr Smorodin. Obraz przemian społecznych Bezymieński konstruuje na tle drobnych faktów życia powszedniego.

Walka o powstanie liryki socjalnej, jako poezji myśli i odczuć nowego człowieka trwa do przełomowego 1932 roku. Lata trzydzieste odznaczają się wyklarowaniem wytycznych ideowych, zapoczątkowanych przez poezje Majakowskiego. Wyłaniają się nowe nazwiska. Poeci tworzą wielki styl eposu rewolucyjnego i oczyszczony od bezcelowych nowatorstw i nawyków barokowych język nowych rodzajów lirycznych (w tym pieśni masowej). Wojna staje się próbą trwałości nowej poezji.

Współczesna poezja radziecka kontynuuje najlepsze tradycje rosyjskiej poezji społecznej. Jest to poniekąd poezja społeczna w nowej swojej odmianie: stawia ona znak równania pomiędzy ideałem a rzeczywistością. Tu nareszcie została osiągnięta równowaga pomiędzy nieprzejednanymi w sztuce burżuazyjnej siłami: społeczeństwem a jednostką ludzką.

Leon Gomolicki

ADAM SCHAFF

BEZDROŻA PSEUDOHUMANIZMU

(Na marginesie artykułu J. Strzeleckiego) *)

Tak się złożyło, że jednocześnie z artykułem J. Strzeleckiego wpadły mi w ręce dwie książeczki francuskie, wydane w ostatnim czasie a mianowicie Leduca „Le marxisme est-il depassé?" oraz Hervé „La liberation trahie"

Jako, że należę do klasy „epigonów marksizmu", jak ją raczył nazwać J. Strzelecki w swym artykule o humanizmie socjalistycznym, t. zn. do rzędu tych, którzy ciągle jeszcze w naiwności ducha są przekonani, że jednak stary Marks miał rację, przyznaję otwarcie, iż artykuł Strzeleckiego mię zdenerwował. Przyznaję się również do tego, że moje negatywne ustosunkowanie się do stanowiska autora zostało pogłębione po przeczytaniu wzmiankowanych wyżej francuskich prac. Z dwóch powodów. Po-pierwsze, dlatego, że wynika z nich jasno, iż stanowisko autora nie jest oderwane i wcale nie jest tak oryginalne, jak to sam autor przedstawia. Po-wtóre, dlatego, że atak przeciw marksizmowi, — a nie ulega wątpliwości, że cały artykuł jest atakiem przeciw marksizmowi — wychodzi tym razem nie tylko z własnych szeregów ruchu robotniczego, ale wszczęty został przez młode pokolenie, co jest podwójnie niebezpieczne.

Artykuł J. Strzeleckiego jest próbą ideologicznego rewizjonizmu w stosunku do marksizmu. I to rewizjonizmu skrajnego. Taki Bernstein, Jaurès, Cunow, dokonując rewizji marksizmu, starali się jednocześnie zachować pozory i palili lampę przed obrazem marksizmu, którego nie zapomnieli zawiesić w swych na nowo umeblowanych pokojach. De Man natomiast zdobył się na **totalny** rewizjonizm, a jego kontynuatorem, po skompromitowaniu się De Mana w czasie wojny jako kolaboracjonisty, jest we Francji George Izard, pretendujący do miana ideologa prawego skrzydła SFJO i twórcy nowej religii socjalistycznej. Artykuł J. Strzeleckiego ma takie właśnie **totalne** zacięcie.

Ruch robotniczy ma zupełnie określone nastawienie w stosunku do wszelkich prób „rewizji" marksizmu. Nie dlatego bynajmniej, jak to chcą przedstawić przeciwnicy, że „epigoni" trzymają się litery marksistowskiego „pisma świętego", że chcą ratować za wszelką cenę „przestarzałą" doktrynę („przecież Marks pisał sto lat temu, cóż z tego mogło jeszcze pozostać wobec rozwoju nauki?"). Wprawdzie marksiści bynajmniej nie uważają, że marksizm jest „przestarzały" i mają poważne dane po temu, by twierdzić, że u podstaw tego pochopnego uśmiercania marksizmu leży najczęściej po prostu nieuctwo, nieznajomość elementarnych tez marksizmu, ale nigdy nie występują przeciw zmianie poszczególnych jego twierdzeń, przeciw dalszemu jego rozwojowi. Na odwrót, uważają, że tylko taki rozwijający się marksizm pozostaje w zgodzie z własnymi swymi założeniami (w szczególności z metodą dialektyczną) określając taki marksizm jako **żywy**, przeciwstawiają go **martwemu, dogmatycznemu**. Że taki **żywy** marksizm to nie tylko postulat, to nie tylko słowa, a realny fakt, o tym świadczy historyczny rozwój myśli marksistowskiej. Ale to nie jest rewizjonizm. **Rewizjonizm** zaczyna się tam, gdzie zmianie podlegają nie poszczególne konkretne tezy, a **sam system**, jego **podstawy** teoretyczne. Klasa robotnicza ma jak najsmutniejsze doświadczenia historyczne z tego rodzaju rewizjonizmem. Z reguły bowiem jego zwolennicy lądowali w obozie wrogów klasy robotniczej, a ich „najnowszy" rewizjonizm okazywał się wrogą interesom klasy robotniczej ideologią, ostrzem swym skierowaną przeciw postępowi. Dla ilustracji przytoczymy przykład najbardziej znanych rewizjonistów ostatniego okresu na zachodzie: De Mana i Déat. Obaj zaczęli od „moralno - humanistycznej" krytyki marksizmu, obaj okazali się następnie zdrajcami: wylądowali na śmietniku historii. Dzieje ruchu robotniczego są długie i bogate; można znaleźć w toku ich rozwoju dziesiątki De Manów i Deat'ów w rozmaitych krajach i okresach. Dlatego też nie bardzo lubią rewizjanistów w obozie marksistowskim.

Działa tu jednak nie tylko czynnik subiektywno - emocjonalny. Istnieją również poważne podstawy obiektywne owej wskazanej wyżej niechęci. Rewizjoniści nawiązują zawsze do „najnowszych" i „najmodniejszych" prądów ideologicznych, którymi chcą uszczęśliwić marksizm, „odmłodzić" go i zregenerować. I z reguły okazywało się, że te „najnowsze" prądy szybko przeżywały się i starzały, a „stary" marksizm jakoś zawsze okazywał się bardziej krzepki i żywotny od młodszego rodzeństwa. I dlatego również marksiści nauczyli się sceptycyzmu wobec nowatorstw i pochopnych rewizjonizmów.

Jednym słowem w klasie robotniczej nie lubią i nie ufają rewizjonistom. Należy się jednakże odrazu zastrzec. Taka nieufność a priori nie może zaciemnić obrazu i spowodować odrzucenia a limine wszelkiej krytyki. Nie może też rzucać cienia na intencje krytykujących.

J. Strzelecki, jak sam podkreśla, należy do młodszego pokolenia (rocznik 1920 — 1925, jak powiada w swym artykule. Mówi w imieniu pokolenia, które swój światopogląd formowało w czasie wojny. I nic dziwota, że przeżywane czasy pogardy wysunęły w tym światopoglądzie czynnik moralny na plan pierwszy. Nie tylko można to zrozumieć, ale należy się do tego zjawiska odnieść pozytywnie. Niezawodnie sprawa moralnej przebudowy człowieka wysuwa się obecnie na czoło wszystkich zagadnień społecznych. Ale czy wobec tego należy na zagadnieniu moralności przystanąć, czy i ona nie jest niczym więcej uwarunkowana? Tu właśnie wysuwa się problem zasadniczy, na którym potyka się Strzelecki i ześlizguje się na pozycje rewizjonizmu.

Jest to rewizja szczególnego rodzaju, rewizja marksizmu z punktu widzenia utopijnego socjalizmu. Do niedawna dyskusja nad tym, czy terminy „socjalista" i „marksista" się pokrywają, była jałowa. Marksizm pokonał wszystkich dawniejszych swoich rywali w postaci drobnomieszczańskich prądów socjalistycznych, o których wspominał jeszcze w swoim czasie „Manifest Komunistyczny" i pozostał na placu boju jako jedyny „socjalizm" sensu stricto. Dopiero okres ostatni, powojenny, dzięki specjalnemu splotowi sił społecznych, prowadzi do renesansu pewnych przejawów przedmarksowskiego, utopijnego socjalizmu. Jedną z form takiego przednaukowego „prawdziwego" socjalizmu (vide „Manifest") jest „moralny" socjalizm, którego eprezentantem jest J. Strzelecki.

Jeśliby sprawa dotyczyła wyłącznie J. Strzeleckiego nie warto by może wszczynać wielkiej polemiki. Możnaby po prostu całą sprawę uznać za wyskok i położyć na karb niezbyt głębokiej znajomości przedmiotu. Ale tu idzie o coś więcej, aniżeli o osobisty pogląd J. Strzeleckiego. Po- pierwsze, dlatego, że artykuł był drukowany w organie TUR'u, który oficjalnie stoi na gruncie marksizmu. Po- drugie zaś, dlatego, że poglądy, głoszone przez J. Strzeleckiego znajdują oddźwięk w pewnych kołach młodzieży.

A więc polemika jest potrzebna.

O KRYTYCE SUMIENNEJ I NIESUMIENNEJ.

Krytyka jest rzeczą bardzo pożyteczną i nikt przeciw niej nic mieć nie może. Ale pod dwoma warunkami: należy znać krytykowany przedmiot i krytykować uczciwie. Nie wiem przeciw któremu z tych dwóch warunków grzeszy autor artykułu w większym stopniu, ale w każdym razie jego krytyka nie należy do rzędu sumiennych.

Nie bądźmy gołosłowni. Materiału dla potwierdzenia naszej tezy jest w artykule J. Strzeleckiego tyle, że powstaje prawdziwy ambarras des richesses. Nie będziemy się też silić na systematyzowanie, a podamy kilka przykładów wedle ich kolejności w artykule.

Mówiąc o genezie tendencyj socjalistycznych wśród młodzieży rocznika 1920 — 1925, autor stwierdza co następuje:

„Dlaczego ci ludzie poczuli się związani z zasadniczymi dążeniami ruchu socjalistycznego? Zrozumienie tej prostej sprawy wprowadza w ujmowanie ruchu nie od strony gospodarczych procesów, lecz od strony ludzkich przeświadczeń. Czyż naprawdę stało się to dlatego — jak skwapliwie podsuwają **epigoni wielkiej doktryny** — że znaleźli się w czasie wojny w położeniu, które wyznaczyła wspólność materialnych interesów?" (str. 351, podkr. nasze A.S.).

W tym krótkim ustępie należy podkreślić dwa momenty:

1. Autor zajmuje zasadniczo antymarksistowskie stanowisko. Jak wiadomo, Marks uważał za zasadniczą tezę materializmu historycznego twierdzenie, że byt społeczny określa społeczną świadomość. Autor, wychodząc z punktu widzenia „przeświadczeń", wysuwa przeciwne twierdzenie.

2. Autor wulgaryzuje stanowisko materializmu historycznego, sprowadzając je do płytkiego ekonomizmu, czym stwierdza jedynie fakt, że nie zna teorii Marksa. Wystarcza przeczytać chociażby listy Engelsa o materializmie historycznym, by się przekonać o skomplikowanym systemie wzajemnego oddziaływania nadbudowy i podłoża w teorii materializmu historycznego.

Mówiąc o poczuciu przynależności do jednego narodu, jako źródle socjalistycznych tendencji w analizowanej przezeń grupie, autor pisze:

„Nikt z nas nie próbował tłumaczyć tym, co polegli na Westerplatte — że zginęli za przesąd (jak to czynili w pierwszych latach wojny niektórzy z naszych przyjaciół w porywie doktrynalnej sumienności i dziecinnego uporu)".

Otóż, powiedzmy sobie po prostu. Tu sprawa poszła tak daleko, że graniczy z nieprzyzwoitością. Nie wiem jakich przyjaciół ma tow. Strzelecki, lecz zarzut został skierowany jednak wyraźnie pod adresem polskich marksistów, lub jakiejś ich części (tych, którzy się dali porwać „doktrynalnej sumienności"). To jest niewątpliwie insynuacja. Kto w obozie polskiej klasy robotniczej kiedykolwiek nie chylił czoła przed bohaterami Westerplatte? Może polscy komuniści, którzy w więzieniach Rawicza, Fordonu, Koronowa i dziesiątek innych miejscowości swój więzienny grosz oddawali na rzecz armii i żądali wcielenia do służby czynnej dla walki przeciw okupantowi? Może ci, którzy jak Marian Buczek ginęli dla tej samej sprawy, o którą walczyli bohaterowie Westerplatte? A może w późniejszym okresie PPR, która czynem dowiodła swego przywiązania do Ojczyzny i której ludzie w dalekiej Rosji tworzyli brygadę imienia „Bohaterów Westerplatte"? A może RPPS, która walką i czynem zbrojnym składała hołd obrońcom Westerplatte? Gdzie są więc ci „przyjaciele"? Są pewne sprawy, z którymi nie wolno żartować nawet w porywie polemicznym, gdy się chce pogrążyć przeciwnika.

Albo nieco dalej autor pisze:

„Po- wtóre. Wojna była dla nas od początku wojną ideologiczną. Nikt z nas nie sprowadzał jej do walki o prawo do wyzysku między dwoma imperialistycznymi blokami. Trudno było nie zdawać sobie sprawy z gry materialnych interesów — znaliśmy zbyt dobrze wielką lekcję Marksa, aby ta strona historii mogła być dla nas obca. **Ale bezstronność obiektywnych teoretyków imperializmu wydała się nam nieco podejrzana.** Dla nas była to od początku walka o być albo nie być najlepszych tradycji europejskiej myśli społecznej...".

Znowu należałoby spytać J. Strzeleckiego, kim są ci jego „obiektywni teoretycy imperializmu", kto spośród marksistów nie widział w ostatniej wojnie wojny ideologicznej, wojny w imię najlepszych tradycji europejskiej myśli społecznej? Boć przecież te niedomówienia są wyraźnie skierowane przeciw marksistom i wolno chyba żądać ich rozszyfrowania.

Można przytoczyć dalsze przykłady. Ale zdaje się, że to potrzebne nie jest. I te, które już zostały przytoczone, starczą dla wykazania, że krytyczny pochód J. Strzeleckiego bynajmniej nie jest nacechowany obiektywizmem i bezstronnością.

Ale teraz przejdźmy do tego co najważniejsze.

O CO IDZIE TOW. STRZELECKIEMU?

Wielką zdobyczą marksizmu w porównaniu z wcześniejszym socjalizmem utopijnym było postawienie sprawy socjalizmu na naukowej podstawie. Polegało to na tym, że marksizm zerwał z moralizującym utopizmem swoich poprzedników, którzy wierzyli że dla budowy socjalizmu starczą dobre chęci oraz siła moralnego przekonania. Naukową podstawę dla swego socjalizmu znalazł marksizm w tezach materializmu historycznego, które oświetliły mechanizm rozwoju społecznego. Socjalizm naukowy w przekonaniach ludzi, w świadomości społecznej widział odbicie pewnych materialnych, niezależnych od woli ludzi prawidłowości. Ta **podstawa** naukowego charakteru współczesnego socjalizmu była **teoretycznie** uznawana nawet przez rewizjonistów. Krytykując filozofię marksizmu, materializm dialektyczny, ani Bernstein, ani Adler, ani Vorländer nie ośmielili się targnąć **expressis verbis** na materializm historyczny. Albowiem usunięcie materializmu historycznego oznacza likwidację **naukowego** socjalizmu, cofnięcie go do stanu przednaukowego, **utopijnego**. To konsekwentnie robi dopiero De Man, a w ślad za nim idzie tow. Strzelecki

Ale oddajmy głos samemu autorowi. Przepraszamy czytelnika za przydługi cytat. Jest on jednak bardzo pożyteczny, ponieważ odsłania stanowisko neo-socjalizmu J. Strzeleckiego.

„Spojrzenie na ruch od strony motywów i przeżyć uczestniczących w nim ludzi — pisze tow. Strzelecki — nazwaliśmy humanistycznym. Z tego punktu widzenia trzeba by napisać niemal na nowo całą historię socjalizmu i historię ruchu robotniczego. Jej przedmiotem byłoby studium przemian, zachodzących w ludziach, w ich świadomości i obyczajach — a nie tylko stadium gospodarczych przekształceń. Przyczyniło by się może do osłabienia pokutujących jeszcze przekonań, że człowiek jest czymś w rodzaju masy plastycznej, z której „proces dziejowy" ulepi bez szkody każdy, pożądany przez jego proroków kształt. I przyczyniłoby się być może, do zmniejszenia siły płynących z kręgu polityki przekonań, dzielących ludzi z góry na **wrogów i przyjaciół** na podstawie ich społecznej genealogii.

Spojrzenie od strony humanistycznej ukazuje socjalizm jako sprawę ludzką. W dwojakim znaczeniu. Przede wszystkim na pierwszy plan wysuwają się w tym ujęciu ludzie, ich dążności, postawa wobec różnych wartości życia, rozwój ich wyobraźni i myśli. Procesy gospodarcze spadają do roli jednego, najważniejszego być może, z czynników, poprzez które kultura nadaje człowiekowi jego ostateczny kształt. Po wtóre, zrozumienie różnorodności dróg, różnorodności motywów, łączących poszczególnych ludzi z ruchem socjalistycznym, wytwarza świadomość, że uleganie naciskowi społeczno - gospodarczych kategorii nie jest ostatnim słowem człowieka. W osobowym, nie w społeczno - historycznym przekroju, ostateczne słowo może należeć do sił — powiedzmy za Bergsonem — otwartej moralności, sił twórczego rozwoju ludzkiej osobowości. Socjalizm ujęty jako wyraz działania tych sił staje się więc nie tylko **wyzwoleniem proletariatu** (niech tylko nikt nie sądzi, że to by nam wystarczyło), lecz **wyzwalaniem się ludzi** spod władzy bezosobowych, społeczno-gospodarczych kategorii, staje się rozwojem ludzi i dojrzewaniem wspólnoty.

Poznanie tej sprawy socjalizmu, powstałe pod wpływem przeżyć czasu wojny, zbliżyło nas do poglądu jednego ze współczesnych teoretyków. W artykule **Socjalizm**, wydanej przez Seligmana encyklopedii nauk społecznych, pisze on. „Ruch ten nie jest związany z żadną formą społecznej czy gospodarczej organizacji, lecz pojawia się zawsze i wszędzie, gdy rzeczywistość rani moralne dziedzictwo człowieka... Istotnym źródłem rewolucyj były te podstawowe moralne wartości... Obecne cofanie się socjalizmu w zachodniej Europie (pisane przed wojną, przyp. mój) oznacza po prostu, że zachodni socjalizm wymaga nowej syntezy swych idei, syntezy bardziej zgodnej z rzeczywistością społeczną i moralną".

Cytowany ustęp jest prawdziwą skarbnicą... błędów, wypaczeń i zwykłej negacji marksizmu. Rozprawiać się z tym wszystkim nie sposób w ramach polemicznego artykułu. Zamiast tego lepiej byłoby zalecić ciekawym i chętnym jakiś elementarny wykład marksizmu. Ale pewne wnioski z cytowanego ustępu wyciągnąć należy. Cóż wynika z przytoczonych poglądów autora?

1. Autor odrzuca zdecydowanie materilistyczną interpretację dziejów na rzecz idealistycznej, stawiając się tym samym za ramami marksizmu (vide pierwszy ustęp cytaty).

*) „Wiedza i życie" nr. 4 — 5, J. Strzelecki „O humanizmie socjalistycznym".

2. Autor neguje walkę klas, t.zn. podstawową tezę historiozofii marksistowskiej (vide zakończenie pierwszego ustępu).

3. W związku z tym autor zupełnie opacznie próbuje przeciwstawić sprawę wyzwolenia proletariatu wyzwoleniu ludzkości, choć elementarne twierdzenie marksizmu głosi, że wyzwolenie proletariatu może się odbyć tylko jako wyzwolenie człowieka w ogóle (vide ustęp drugi).

4. Autor przechodzi zdecydowanie na idealistyczno - moralizatorskie pozycje De Mana, wysuwając za nim postulat totalnego rewizjonizmu, tzn. **zerwania** z marksizmem (vide ustęp ostatni).

Czytając wywody J. Strzeleckiego nie można się oprzeć pewnym wspomnieniom o sarkastycznych uwagach Karola Marksa w „Manifeście Komunistycznym" na temat tzw. „prawdziwego socjalizmu". Wyśmiewając skastrowanie przez niemieckich filistrów francuskiej myśli rewolucyjnej, Marks pisał:

„W ten sposób francuska literatura socjalistyczno - komunistyczna została kompletnie skastrowana. A ponieważ w rękach niemieckich przestała ona wyrażać walkę jednej klasy przeciw drugiej, więc Niemiec nabrał przekonania, że przezwyciężył „francuską jednostronność", że zamiast prawdziwych potrzeb reprezentuje potrzebę prawdy, a zamiast interesów proletariatu — interesy istoty ludzkiej, człowieka w ogóle, człowieka, który nie należy do żadnej klasy, nie należy w ogóle do rzeczywistości, lecz jedynie do mglawicy fantazji filozoficznej". (Dzieła wybr. I str. 186).

A dalej czytamy:

„Utkana z pajęczyny spekulatywnych dociekań, haftowana kwiatkami górnolotnego frazesu, przepojona sentymentalną rosą rzewności — owa pretensjonalna szata, w którą socjaliści niemieccy spowili kilka swych kościstych „wieczystych prawd", powiększyła jedynie zbyt ich towarów wśród tej publiczności...

...Wysnuł (prawdziwy socjalizm) też ostatnią konsekwencję, występując bezpośrednio przeciwko „brutalnie destrukcyjnemu" kierunkowi komunizmu i obwieszczając swą bezstronną wyższość ponad wszelkie walki klasowe..." (tamże str. 187).

Potrafił dociąć stary Marks i potrafił być aktualny na wyrost... nawet po 90 latach.

Podobieństwo do tez utopijnego socjalizmu każe nam zachować pewną ostrożność wobec roszczeń autora do oryginalności poglądów, które wyraża. Zmusza to nas do zbadania ich historycznej paranteli.

RZUT OKA NA HISTORIĘ.

Rewizjonizm nie jest zjawiskiem nowym. Autor ma całą kolejkę poprzedników i to nie byle jakich. Próby likwidacji naukowej bazy współczesnego socjalizmu i nawrotu do utopijnego „moralizatorstwa" nie są czymś nowym. Do tego celu przecież zmierzał kierunek „z powrotem do Kanta" w przewdojennej socjal-demokracji. Od Bernsteina po Vorländera i Adlera, a w dużym stopniu i Kautsky'ego rewizja materializmu filozoficznego szła w kierunku kantowskiego imperatywu, który miał dostarczyć socjal - demokracji obiektywnej bazy moralnej, niezależnej od wszelkiej klasy.

W późniejszym okresie rewizja marksizmu otrzymuje bodziec dodatkowy w postaci walki konkurencyjnej socjal - demokracji z komunizmem. Idzie mianowicie o to, że komunizm konsekwentnie rozwija tezy marksizmu, który staje się jego bronią w bitwie ideologicznej z socjal- demokracją. Krańcowy wniosek z tego stanu rzeczy wysnuwa De Man, który pierwszy zdecydował się jasno i wyraźnie na ostateczną rezygnację z marksizmu na rzecz psychologiczno - moralnego uzasadnienia swego stanowiska. Cytowany przez tow. Strzeleckiego ustęp o potrzebie „nowej syntezy ideologicznej" socjalizmu, z którą to myślą zresztą autor się wyraźnie solidaryzuje, wyraża myśl De Mana, wyraża ideę **totalnego** rewizjonizmu.

Kolaboracjonista De Man nie zdał egzaminu jako apostoł „moralizującego" socjalizmu. Ale sztandar rewizjonizmu nie upadł. Przejął go Leon Blum, głoszący „religię socjalistyczną" oraz nowy „ideolog" rewizjonizmu Georges Izard. Posłuchajmy co mówi o marksizmie i „moralno - humanistycznym" socjalizmie ten nowy apostoł:

„Lenin wysnuł logiczne wnioski z marksizmu — pisze Georges Izard w swej pracy „L'homme est révolutionaire". Twierdzenie, że cel i środki nie dadzą się ściśle rozgraniczyć, że znaczenie ma tylko rezultat, oburza socjalizm, ale tym nie mniej — jest ono oparte o tezy Marksa... Jeśli socjalizm uważa, że uwłacza jego godności rewolucyjnej, gdy nie pozostanie całkowicie na pozycjach marksizmu, to jest skazany na utratę swych sił na rzecz komunizmu, który konsekwentniej rozwija myśl marksistowską. Ale socjalizm, wedle Jaurèsa i Bluma, może wyznawać doktrynę, która odpowiada jego woli; może uznać, że ten nowy system nic nie traci z siły marksizmu, że prowadzi do rewolucji bardziej ludzkiej i głębszej jednocześnie, że jest zdolny wzniecać gorącą wiarę i prowadzić do jej realizacji; że posiada moc przekształcania świata i że u jego boku marksizm okazuje się jedynie teorią przejściową, niepełną i przeżytą".

Oto wyznanie wiary współczesnego rewizjonizmu. Mówi ono jasno i wyraźnie, dlaczego odrzuca marksizm i czym zamierza go zastąpić.

Neo-socjalizm, na bazie którego stoi również Strzelecki, odrzucając marksizm i głosząc zasadę, że socjalizm nie jest identyczny z marksizmem, a może być tym, czym chce dana jednostka (stara teza De Mana), wraca do utopijnego punktu wyjścia ruchu socjalistycznego. Ale to ma dalej idące konsekwencje. Jeśli celem ostatecznym staje się cel moralny, jeśli środkiem prowadzącym do tego celu jest tylko przebudowa moralna, to określone środki —siła, walka klas—muszą zostać odrzucone. Nowy socjalizm „humanistyczny" w konsekwencji prowadzi do osłabienia walki proletariatu, do podważenia jej podstaw. W rezultacie—niezależnie od woli i niezależnie od świadomości jego apostołów — neo socjalizm staje się ruchem w interesie klas posiadających i odzwierciedla chwiejne stanowisko drobnej burżuazji.

Nie jest rzeczą przypadku, że socjalizm „humanistyczny" krzewi się szczególnie wśród tych właśnie warstw.

Po wyzwoleniu Francji wśród mnożących się neo-socjalizmów, socjalizm humanistyczny był szczególnie popierany przez drobnomieszczańską grupę katolicką (zresztą bardzo sympatyczną) „Esprit". Rzecznikiem tego socjalizmu był prof. Hauriou, który widział w nim socjalizm „ponad klasowy". W tej właśnie „ponad klasowości", tak gorliwie popieranej przez J. Strzeleckiego, leży tajemnica powodzenia neo-socjalizmu wśród drobnomieszczaństwa.

Socjalizm utopijny inną odgrywał rolę w przeszłości, jako poprzednik socjalizmu naukowego, a inną dziś. W okresie, gdy proletariat nie wykrystalizował się jako klasa, socjalizm utopijny był wyrazem niedojrzałości jego dążeń rewolucyjnych. Jako jedynie możliwy w owych warunkach, socjalizm utopijny był jednak niewątpliwie prądem rewolucyjnym. Obecnie sytuacja radykalnie się zmieniła. Socjalizm utopijny w dzisiejszych warunkach jest prądem **równie reakcyjnym**, jak fantazjowanie o zastąpieniu kapitalizmu przez nowe wydanie feudalizmu. Historii cofać wstecz nie można, a każda próba tego rodzaju ma zupełnie określony, wsteczny charakter.

CZY SOCJALIZM MARKSISTOWSKI JEST HUMANISTYCZNY?

Na zakończenie Strzelecki klepie Marksa protekcjonalnie po ramieniu:

„Warto wreszcie podkreślić, — pisze — że Marks był wbrew swej własnej teorii — **wielkim moralistą.** Jego grzązki, namiętny sarkazm i ostrość pióra i myśli płyną nie z „chęci szerzenia nienawiści klasowej", a z troski o konkretnego w społeczno - historycznym świecie żyjącego człowieka".

Te słowa mógł napisać tylko człowiek, który nie wiele rozumie z tego, czym jest marksizm. Ciekawe, gdy się czyta o tych samych rzeczach w różnym naświetleniu. Wydaje mi się, że tow. Strzeleckiemu przydało by się przeczytanie broszury Roger Garaudy „Le communisme et la morale", z której dowiedziałby się jak pochopnie postępował używając protekcjonalnego tonu w stosunku do Marksa - moralisty.

Marks był wielkim moralistą i humanistą nie wbrew swojej teorii, jak to postuluje autor, a właśnie dzięki niej.

„Wszelkie ruchy dotychczasowe były ruchami mniejszości, — pisał Marks w „Manifeście", — lub w interesie mniejszości. Ruch proletariacki jest samodzielnym ruchem olbrzymiej większości w interesie olbrzymiej większości. Proletariat, najniższa warstwa społeczeństwa obecnego, nie może się podnieść, nie może się wyprostować, nie wysadzając w powietrze całej nadbudowy warstw stanowiących społeczeństwo oficjalne".

„Proletariusze mogą opanować społeczne siły wytwórcze, — pisze Marks w innym miejscu, — tylko znosząc swój własny dotychczasowy sposób przyswajania, a przez to samo i cały dotychczasowy sposób przywłaszczenia".

Proletariat walcząc o swoje wyzwolenie, walczy tym samym o wyzwolenie ludzkości w ogóle. I dlatego wyzwolenie **Człowieka** jest nieodłącznie związane z wyzwoleniem **Proletariusza.** W ten sposób marksistowska teoria walki klas jest najbardziej wysublimowaną a jednocześnie jedynie **realną** formą starej zasady humanizmu — „nil humanum me alienum esse puto". To są zasady nie przeciwstawne, a **pokrywające** się.

Dużo się mówi ostatnio o humaniźmie. Jest on prądem modnym, co jest zrozumiałe na tle psychologicznej reakcji na faszystowskie czasy pogardy. Ale po największej części jest to pusty werbalizm. Mówić o humaniźmie ma sens wtedy, gdy się stwarza realną gwarancję praw człowieka. A tę daje tylko socjalizm. I dlatego właśnie Gorki miał prawo wypowiedzieć wielką dewizę socjalistycznego humanizmu: „Człowiek — jak dumnie brzmi to słowo". I dlatego humanizm ma obecnie sens tylko jako humanizm **socjalistyczny.** I dlatego właśnie **socjalistyczny** humanizm znaczy coś tylko i jedynie wtedy, gdy łączy się z **naukowym** socjalizmem, z marksizmem*).

Zagadnienie moralności nie jest również czymś obcym dla marksizmu. Marksista nie może mieć nic przeciw tezie artykułu, że w chwili obecnej należy położyć szczególny nacisk na przebudowę moralną ludzi. Sprzeciw budzi dopiero **sposób podejścia** do zagadnienia moralności, jej absolutyzowanie, jej oderwanie od warunków materialnych - klasowego podłoża.

Wielkim zwycięstwem naukowym marksizmu było udowodnienie zależności rozwoju nadbudowy ideologicznej od sposobu produkcji. Naturalnie, nie w tym uproszczonym aspekcie, w jakim stara się sprawę przedstawić autor. **To** nie jest marksizm, a pogląd wyssany z palca. Ale prawdziwy, uwzględniający całą złożoność rzeczywistości marksizm, wykazuje zmienność zasad moralności ich zależność od materialnych warunków bytu. O tym poucza nas zresztą — wbrew tezom artykułu — prosta obserwacja i analiza faktów społecznych w ich historycznym rozwoju. I na tej podstawie marksizm twierdzi, że normy moralności są również zależne od stosunków klasowych. Tylko takie ujęcie jest konkretne, nie grzeszy pustą abstrakcyjnością. Ale w takim wypadku okazuje się, że i moralność oraz jej normy są podporządkowane wyższej zasadzie — interesom tej klasy, która dane normy tworzy. Dla marksizmu moralne jest to, co odpowiada interesom klasy robotniczej, t.zn. pośrednio interesom narodu. Ten interes większości społeczeństwa jest normą najwyższą, której są podporządkowane wszystkie inne. Na tej bazie wznosi się gmach marksistowskiej moralności.

Z całego artykułu J. Strzeleckiego wynika, że z **takim** pojęciem moralności się nie zgadza. Ale to jest właśnie cechą charakterystyczną jego antymarksistowskiego, t. zn. nienaukowego, utopijnego ujęcia socjalizmu.

Taki jest bilans analizy artykułu tow. Strzeleckiego. Już po jego opublikowaniu ukazał się nowy artykuł tow. Strzeleckiego w nr. 2 „Płomieni", w którym autor poważnie zmienia swoje sformułowania, choć dalej pozostaje na błędnych pozycjach. Ponieważ dokoła zagadnienia humanizmu socjalistycznego niewątpliwie wywiąże się dyskusja, w której zapewne weźmie udział i tow. Strzelecki, do drugiego artykułu powrócę jeszcze w toku polemiki.

Adam Schaff.

*) Patrz: „Humanizm socjalistyczny", „Kuźnica" nr. 76 i 77.

Dyskusja o Ministerstwie Kultury i Sztuki (VI, VII, VIII)

JULIAN PRZYBOŚ

CZAS NA REWOLUCJĘ KULTURALNĄ!

Manifest lipcowy zapowiedział roztoczenie przez państwo opieki nad ludźmi pracy twórczej: uczonymi i artystami. Ze słów Manifestu można wnosić, że autorzy tej pierwszej deklaracji programowej nowego ładu w Polsce nie mieli na myśli jakiejś protekcyjnej renty, zasiłku łaskawej zapomogi. Organizatorzy nowej Polski ocenili, że przyszły rząd stworzy jak najpomyślniejsze warunki rozwoju nauk i sztuk. Pierwszym czynnikiem tego pożądanego rozkwitu miało się stać uwolnienie ludzi pracy twórczej od trosk materialnych tak, aby cały swój czas i wszystkie siły twórcze poświęcili twórczości.

Ustanowiono Ministerstwo Kultury i Sztuki, ono miało urzeczywistnić myśl Manifestu w dziedzinie polityki artystycznej państwa. Czego dokonało Ministerstwo w ciągu 2-ch lat swego istnienia? Czy stworzyło warunki do bujnego rozkwitu literatury i sztuki w odrodzonej Polsce?

Dokonało pożytecznych prac w zakresie t.zw. „małej roboty". Na przykład — w sprawach teatralnych, najbardziej zawiłych, splątanych i chaotycznych zapanował, dzięki skrzętnym zabiegom Kruczkowskiego — pewien ład, zarysował się pewien program polityki państwa w tej dziedzinie. Nie stworzyło Ministerstwo programu „wielkiej roboty", nie rozwinęło żadnego planu organizacji życia kulturalnego, **nie dokonało w dziedzinie polityki kulturalnej dzieła tak przełomowego, żeby się mogło równać dokonaniom Reformy rolnej czy Reformy oświaty. Taka rewolucja kulturalna czeka na swoich inspiratorów i wykonawców.**

Lecz czy Ministerstwo mogło tego dokonać? Czy posiadało po temu środki? Rzucono już pierwsze zarysy tej wielkiej **Reformy kultury** w Polsce, która ma obieg wartości artystycznych rozszerzyć na masy robotników i chłopskie. Uchwalono ustawę biblioteczną. Byłem pierwszym, który w KRN poruszył sprawę bibliotek i wiem, jak trudno i długo rodził się ten przełomowy, a elementarny przecież akt ustawodawczy. Ustawa została jednomyślnie uchwalona, lecz **jak długo trzeba będzie czekać na rozporządzenia wykonawcze i wprowadzenie jej w życie? Kiedyż każda gmina w Polsce będzie miała przyzwoity księgozbiór z klasykami piśmiennictwa narodowego, kierowany przez fachowego bibliotekarza!** Nie słychać żeby w ramach planu trzyletniego dla tej najpilniejszej, elementarnej sprawy w pracy oświatowo-kulturalnej przewidziano etapy realizacji. Rzecz wszystkich trzech ministerstw, które rozważały projekt ustawy bibliotecznej (Oświaty, Kultury i Sztuki i Informacji) było tego dopilnować. **Dopóki książka, najważniejszy nosiciel oświaty i kultury nie stanie się dostępna każdemu obywatelowi — niemilknące w prasie rozważania o „upowszechnieniu" i demokratyzacji kultury — pozostaną bez pokrycia.**

Z łona Związku Plastyków wyszedł projekt, który, gdyby uzyskał sankcję ustawodawczą, stałby się drugim czynnikiem rewolucji kulturalnej w Polsce, równie ważnym jak Ustawa Biblioteczna. Konrad Winkler wystąpił z planem t.zw. **Mecenatu ludowego.** Według tego projektu opiekę nad sztuką mają przejąć Związki Zawodowe, opodatkowując każdego ze swoich członków po 1 zł na miesiąc. Dałoby to duży fundusz, który by zapewnił artystom swobodę twórczą, a Związkom Zawodowym dał wartościowe dzieła. Sztuka i książka weszłyby do izb robotniczych. Nie słychać, żeby któraś z partii Bloku Demokratycznego rozpatrywała ten projekt. Kiedyż wpłynie jako wniosek do Sejmu? **Czy myśla nad nim w ministerstwach i w biurach planowania ludzie powołani do troski o odbudowę kulturalną?** Dopóki idea mecenatu ludowego nie zostanie urzeczywistniona — myśl o rozkwicie twórczości artystycznej, ta myśl która tchnęła w Manifest lipcowy słowa o opiece państwa nad nauką i sztuką — pozostanie wstydliwą mrzonką.

Podkreślam: **dla dokonania Reformy kultury w Polsce** trzeba urzeczywistnienia w ramach trzyletniego planu **Ustawy bibliotecznej** i ustanowienia **Mecenatu ludowego.**

Nie leżało i nie leży w mocy jednego tylko Min. Kultury i Sztuki wprowadzenie w życie tych projektów, zasadniczych i rozstrzygających o Reformie kultury w Polsce. Ale też zapewne nawet nie pomyślano o poparciu projektu Związku Plastyków. Ministerstwo ograniczyło swoją działalność do drobnych administracyjnych czynności — gdy — jakby można było oczekiwać ze słów Manifestu — nowy urząd opiekujący się sztuką winien by dokonać rewolucyjnej przemiany w społecznym krążeniu dóbr kulturalnych i przez to zmienić radykalnie pozycję społeczną artysty. Twórca dóbr kulturalnych z przysłowiowego „chudego literata" i artysty-głodomora stałby się wolnym od trosk materialnych dostawcą niezbędnych wzruszeń dla szerokich rzesz społeczeństwa. Ministerstwo, które zajmuje się sprawami co najmniej równie doniosłymi jak sprawy oświaty i szkolnictwa — stało się, jak się nieraz żalono, kopciuszkiem wśród urzędów ministerialnych: ministerstwem o najmniejszym budżecie, nieosiągającym 1% całości wydatków Państwa. Gorzej, że uraz małoważności udzielił się samym kierownikom ministerstwa.

A przecież nikt nie ośmieli się twierdzić, że twórczość artysty jest mniej cenna niż praca budowniczego mostów. Nie godzą się ludzie tylko w odpowiedzi na pytanie, czy troska o sztukę jest równie naglącą, jak np. troska o zdrowie społeczeństwa. Wielu sądzi, że kolej na zajęcie się sprawami sztuki przez państwo przyjdzie później, po zaspokojeniu potrzeb elementarnych, pilniejszych. Primum vivere! Lecz **sztuka jest też miarą żywotności narodu — może bardziej niż wskaźnik produkcji znamienną,** a z pewnością **miarą moralnie najczulszą.**

Zaniedbanie w dziedzinie organizacji życia kulturalnego, obniżenie osiągniętego już poziomu — pociąga za sobą następstwa, trudniejsze do naprawienia, niż szkody w jakiejkolwiek innej dziedzinie życia społecznego. Szkody wynikłe z zaniedbania w sprawach kultury są niemal nie do naprawienia i niszczą się długo. Zburzony gmach odbudować można w każdej chwili — rozwiązanej orkiestry symfonicznej, której członkowie uciekli do grajkowania po kawiarniach — nie stworzy się po latach. Sztuka rośnie powoli, czerpie soki z tradycji, nagłe obniżenie poziomu — wiedzie do upadku z którego nie łatwo się podźwignąć.

Te proste prawdy nie zawsze znajdowały zrozumienie u miarodajnych czynników. W Ministerstwie Kultury i Sztuki panował kompleks jego małoważności. Delegacje związków artystycznych musiały alarmować premiera, przekonywać na komisji KRN, że oszczędzanie na muzyce czy muzealnictwie jest najcięższa strata.

Za szczupły i — w porównaniu ze wzrostem ogólnego budżetu państwa — jeszcze uszczuplony, budżet Ministerstwa Kultury i Sztuki nie pozwala na roztoczenie obiecanej opieki nad literaturą i sztuką. Winić więc ministerstwa o zaniedbanie w tym względzie nie można, trzeba mu jednakże wytknąć nadmierną skromność żądań pod adresem Skarbu, co wiodło i wiedzie do nieobliczalnych strat kulturalnych.

Pomysłowość ministerstwa w dziedzinie polityki kultuaralnej wyczerpała się na utworzenie Rady teatralnej i Centralnego Instytutu Kultury. Trudno mi ocenić, czego dokonała Rada teatralna i czy takie rzadkie — co prawda — narady bardzo wielu osób związanych z teatrem wiodą do czegoś, ale wiem na pewno, że istnienie t.zw. CIK-u jest bezcelowe. Wydaje się pieniądze na pozór instytucji, która nawet nie wie, co ma robić. Więcej — wie, że nie ma i nie może mieć nic do roboty, bo czynność upowszechniania kultury — by ją tak nazwać — rozrywkowej należy do Wy-

działu Oświaty dla Dorosłych w Ministerstwie Oświaty i do wielu organizacji społecznych, jak TUR, Tow. teatrów i chórów ludowych itp. Walczyłem z tym CIK-iem w komisji KRN przez przeszło pół roku — i chociaż prawie wszyscy się zgadzali, że instytucja ta jest niepotrzebna — nie zdołałem skłonić Ministerstwa do jej zniesienia.

Niebezpieczeństwo biurokratycznego rozrostu instytucji, instytutów, rad i komitetów — jest szczególnie duże tam, gdzie nie ma wypróbowanych wzorów z przeszłości. Ministerstwo Kultury i Sztuki jest urzędem nowym w odrodzonej Polsce — i jak często to stwierdzają jego kierownicy — szuka dopiero właściwych dróg postępowania i organizacji. Są to, niestety — z braku odpowiednich funduszów — wąskie ścieżyny, nie otwierające szerokiego widoku na przyszłość sztuki w Polsce. Słyszę np., że podobno zanosi się obecnie na podniesienie średnich plastycznych szkół zdobniczych, których jest w Polsce sześć, do godności szkół akademickich. Mielibyśmy wraz z Akademią Krakowską i Warszawską, aż osiem najwyższych szkół plastycznych, podczas gdy Francja zadowala się jedną Ecole des Beaux Arts w Paryżu! Brak nam profesorów do dwóch istniejących Akademii sztuki — a zamierza się tworzyć nowych sześć. Tytuł nie podwyższy poziomu, a obciąży skarb niepotrzebnymi sumami, które trzeba wtedy wydatkować na nowe akademie.

Wydawałoby się, że jeśli Ministerstwo Kultury i Sztuki nie rozporządza dostatecznymi środkami do skutecznego sprawowania opieki nad życiem artystycznym, to posiada dość energii i autorytetu, aby zapobiec szerzącemu się szkodnictwu kulturalnemu. Że głosu jego usłuchają inne urzędy państwowe, jak Urząd Kontroli Prasy czy Ministerstwo Informacji i Propagandy. Podnosiłem już wielokroć i w prasie i na Komisji Kultury i Sztuki głos w sprawie okropnych wydawnictw w rodzaju „Co tydzień powieść" lub „Świat wielkich przygód". Sennik egipski ukazał się w odrodzonej Polsce podobno w dwóch wydaniach! Coraz obficiej zalewa nas potworna szmira wydawnictw brukowych. Pleni się bezkarnie czerwoniacka prasa, ekspresiaki z odcinkami brudnych i ohydnych „romansów" — wychodzących potem w wydaniu książkowym. Wieś polska zalewają bohomazy szkaradnych olejodruków i dewocjonalii. W radio wyją bezmyślne szlagiery, brzydota, szmira i świństwo pleni się swobodnie. **Kto na to wszystko zezwala, powinien na równi ze spekulantami na głupocie ludzkiej odpowiadać za szkodnictwo kulturalne.** Komisja KRN uchwaliła rezolucję wzywającą do walki z tym szkodnictwem — jest nowy sejm, utworzyły się nowe komisje — a „Co tydzień powieść" z „Światem wielkich przygód" i wznowioną „Muchą" na przydatek — upowszechniają kulturę w masach.

Wołam wielkim głosem o miotłę! Kto oczyści ten brud w prasie demokratycznej Polski!

Zarzucono w toku dyskusji papierkowość roboty w ministerstwie, które z natury swojej działalności, winno by strzec się wszelkiego biurokratycznego schematyzmu w sprawach tak brudnych do kierowania jak dziedzina sztuki. Zarzut niezupełnie słuszny: w Min. Kultury i Sztuki mniej jest biurokracji i papierków, niż w innych urzędach (co nie znaczy, że nie jest ich za dużo). Zarzucano brak jasnej myśli w polityce kulturalnej, brak dalekosiężnego planu. Ja powtórzę: 1) dopóki w Polsce **Ustawa biblioteczna** nie zostanie wprowadzona w życie i 2) dopóki nie rozstrzygnie się sprawy **Mecenatu ludowego** — zagadnienie upowszechnienia kultury pozostanie tym: czym było i jest dotychczas w publicystyce wszystkich stronnictw: woda na młyn krasomówczych frazesów.

Julian Przyboś

*

Obywatelu Redaktorze!

Jako stały czytelnik „Kuźnicy", która jest dla mnie jedynym łącznikiem z kulturalnym światem pozwalam sobie zamieścić parę uwag w dyskusji o „Ministerstwie Kultury i Sztuki". Jestem rolnikiem samoukiem, bo rządy kilki sanacyjnej nie pozwoliły chłopu skończyć gimnazjum. Nie będę mówił o rzeczach, które nie obchodzą „dołów" jedynie o tym, co nas boli. Nie umiem tak górnolotnie mówić jak obywatel Redaktor, jednak odczuwam piękno i myślę, że właśnie chłop i robotnik także powinni być dopuszczeni do tworzenia kultury i do decydowania o tak ważnej sprawie. Ob. Redaktor Żółkiewski wszystkie swoje uwagi o pionierstwie kultury i sztuki opiera na obserwacjach w czasie prowadzenia wieców przedwyborczych w województwie. Uważam, że to jest stanowczo za mały okres czasu, ażeby poznać życie kulturalne terenu. Ażeby wieś poznać trzeba z nią żyć, cierpieć i dla niej pracować. Ob. Redaktor radzi, aby skasować oddziały Kultury i Sztuki w powiatach, że niby one nie pracują. Ja tę robotę czuję jednak u nas w powiecie. Oddział Kultury i Sztuki wybiera do pracy tych, co mają iskrę Bożą, opiekuje się Nimi i pomaga im. A kto to będzie robił, jak tych komórek nie będzie? Ob. Redaktor mówi, że to zrobią związki i organizacje. To jest bardzo niby myśl dobra, ale za parę lat kto ludzi i jak ich wychowa się w demokracji?? Dziś Związki i organizacje poza uganianiem za funduszami to jeszcze tylko kłócą się między sobą.

Zawsze byłem przekonany, że rządy ludowe pozwolą przede wszystkim warstwom upośledzonym kształcić jednostki zdolne na artystów. Tymczasem właśnie „Kuźnica" pismo postępowe uważa, że najpierw trzeba zlikwidować oczywiście powoli, Ministerstwo Kultury i Sztuki, jakby już nie było w Polsce czego ważniejszego do likwidacji. Na pewno ,gdy to czytają reakcjoniści, zacierają ręce z zadowolenia, że tak ważne sprawy jak Kultura, stara się „zlikwidować" i to właśnie pismo demokratyczne. Ja myślę, że jednak zupełnie inaczej traktują tę sprawę ludzie pracujący w terenie często bez grosza — bezinteresownie, inaczej oczywiście sprawy te wyglądają z za biurka redaktorskiego. Moim zdaniem nie trzeba „likwidować" oddziałów pow. Kultury i Sztuki, lecz raczej powiększyć je i uczynić zdolnym do wykonywania swych zadań do wychwytywania artystów ludowych, wykształcenia ich dla dobra społeczeństwa.

Nie uczynią tego na prowincji Związki Zawodowe literatów i tys. bo ich tam w ogóle nie ma, a jeśli nawet są, to strzegą zazdrośnie swych praw. Na te sprawy pieniądze znaleźć się muszą, bo to jest właśnie podstawą demokracji ludowej. A. Mickiewicz marzył, aby jego książki zbłądziły pod strzechy — ja natomiast marzę, żeby Ob. Ob. Redaktorzy, którzy piszą mądre rzeczy najprzód przyszli do nas maluczkich i przeżyli w wiejskich świetlicach choć parę miesięcy i poznali nasze życzenia i stosunki, a dopiero później pisali co nam potrzeba. Byłoby to bardzo pożądane, i dla Ob. Redaktorów i dla całego narodu.

Franciszek Sochacki
Kobiel, pow. Radomszczański

Do
Redakcji „Kuźnicy"
w Łodzi
Piotrkowska 96

W związku z „Dyskusją o Ministerstwie Kultury i Sztuki", nasuwają mi się następujące myśli:

a) Red. Żółkiewski w swojej „Replice" podkreśla, że nauczyciel czyta raz w tygodniu prasę — należy domyśleć się, że nie czyta zupełnie książek nowych, zwłaszcza beletrystyki. Pocieszę red. Żółkiewskiego, że w niewiele lepszej sytuacji jest większość inteligencji pracującej, — wyjątek może stanowią lekarze — zamieszkali po rozmaitych osadach i miasteczkach. Trzeba stwierdzić, że wprawdzie cały szereg periodyków jest dostępny dla ogółu inteligencji pracującej — bo nie jest wcale wygórowaną ich prenumerata — ale książki są stanowczo za drogie na możliwości finansowe inteligenta pracującego. Wielokrotnie było podkreślane na łamach „Kuźnicy", że roczniki 1906—1918 polskiej inteligencji były urabiane w okresie ostatnich lat gimnazjalnych i uniwersytetu do września roku 1939 w duchu raczej faszystowskim. Te roczniki są fatalnie zaniedbane i bez swej winy zacofane, ale na pewno nie skostniałe w swym światopoglądzie i wielu uczciwych ludzi z tych roczników znalazłoby się w obozie demokracji, gdyby... przejrzeli! A trzeba im to przejrzenie umożliwić. Może to zrobić z jednej strony prasa, z drugiej książki. Proponuję, by:

1) ze względu na stosunkowo wysokie ceny książek,

2) ze względu na niemożność korzystania z bibliotek w małych osadach i miasteczkach:

a) stworzyć wypożyczalnie książek obsługujące swych klientów drogą pocztową,

b) wypuścić w teren na okres 3—6 miesięcy propagandzistów, którzy by zachęcali do korzystania z tych wypożyczalni, zostawiając przy pierwszej wizycie jakąś książkę do przeczytania „na próbę",

c) stworzyć czasopismo, takiego „Przyjaciela wypożyczalni", w którym abonenci wypożyczalni mogliby poruszać zagadnienia ich interesujące i otrzymywać odpowiedź na swe pytania.

Punkt a, b i c winien być subwencjonowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Uzasadnienie ostatecznego wniosku. Jeżeli Ministerstwo K. i Szt. istnieje w Polsce, rozporządza pieniędzmi państwowymi — to pierwszym obowiązkiem jest i upowszechnienie Kultury, choćby w postaci tylko książki.

St. Sawczyn

W KRAJACH POKONANYCH

NIEMCY ODRODZONE

Listopadowa Konferencja Socjalistyczna angielska w Bournemouth większością głosów uchwaliła dopuszczenie do Konferencji niemieckiej Partii Socjal-Demokratycznej (SPD). Delegaci partii socjalistycznych 12 krajów wyrazili tym samym votum zaufania wobec dzisiejszych Niemiec, wiarę w prawdziwość niemieckiego socjalizmu i w szczere intencje jego przywódców.

Przywódcą SPD i faktycznym wodzem odradzających się pod opieką Churchilla, Byrnesa i Bevina Niemiec — jest dr. Kurt Schuhmacher. Linia polityki dr. Schuhmachera nie odbiega od wzoru, jakim posługiwali się jego poprzednicy spod znaku swastyki. Na pierwszym planie znajduje się w dalszym ciągu „przestrzeń życiowa" i rozrost niemieckich koncernów i trustów. Być może, w nomenklaturze t. zw. „zachodnich demokracji" nazywa się to socjalizmem.

Najbliższym współpracownikiem i nieodłącznym towarzyszem doktora Schuhmachera jest Herbert Kriedemann.

Jest to człowiek zasłużony i zaufany, dobrze widziany w sferach angielskich, członek zarządu SPD, członek ciała doradczego brytyjskiej strefy okupacyjnej, członek ciała gospodarczego tejże strefy, członek komisji specjalnej ciała doradczego przy nowym podziale prowincji, członek hannoverskiego Landtagu — i wreszcie najchlubniej zasłużony agent Gestapo S9.

W początkach swej kariery był Herbert Kriedemann związany z nielegalnym ruchem robotniczym i czas jakiś przesiedział w więzieniu. Po uwolnieniu opuścił Niemcy, a powaśniwszy się z praskim kierownictwem partii SPD, wyemigrował do Holandii.

Czy i w jakim stopniu był Herbert Kriedemann socjalistą w czasach swej młodości, trudno orzec. Faktem jest, że gdy w 1936 r. berlińska Centrala Gestapo poszukiwała współpracowników, którzy by, prowadząc działalność prowokatorską, przyczynili się do likwidacji wrogów Trzeciej Rzeszy, wybór padł właśnie na Kriedemanna. Niewątpliwie znaczną rolę odegrała tu okoliczność, że polecił go Gestapo jako człowieka pewnego i godnego zaufania jego rodzony brat, SS-mann Horst Kriedemann.

Herbert Kriedemann przebywał wówczas w Amsterdamie, jako członek zarządu emigracyjnej grupy SPD w Holandii. 23 sierpnia 1936 r. przyjechał do Amsterdamu agent Reinhold Schwabe i zaproponował Kriedemannowi nawiązanie łączności z Centralą Gestapo w Berlinie za pośrednictwem komisarza Sattlera. Kriedemann zgodził się. Termin spotkania z Sattlerem wyznaczony został na dzień 28 września 1936 r. w Amsterdamie. Konferencja trwała dziesięć godzin. Dała wyniki pozytywne. Kriedemann otrzymał cyfrę S9 i przyjął szereg zleceń, m. in., jak wynika z protokułu Sattlera:

> Ustalić wszystkie osoby oraz sekretarzy pogranicznych SPD z podaniem miejsca zamieszkania.
>
> Pomóc w całkowitym zbadaniu niedawno wszczętych masowych aresztowań w nielegalnej organizacji SPD w Hannoverze „Socjalistyczny Front", a w szczególności odnaleźć urzędnika, który w swoim czasie ostrzegł hannoverską SPD przed akcją, co ułatwiło ucieczkę do Holandii kierownika tej organizacji, Blumenberga.

Z zadań swoich wywiązał się Kriedemann zadowalająco. Dzięki niemu wykryta została cała sieć współpracy zarządu SPD w Pradze z nielegalnym ruchem w Niemczech. Dzięki niemu udało się Gestapo rozpracowanie SPD, II Międzynarodówki w Holandii, Pradze i Paryżu. Dzięki niemu zdekonspirowano cały szereg socjal - demokratycznych działaczy w kraju i zagranicą, również i tych, z którymi Kriedemann pozostawał w ścisłym kontakcie, a nawet zażyłych, przyjacielskich stosunkach.

Gestapowska kariera Kriedemanna trwała 2 lata. W stosie raportów S9 do Gestapo i raportów dotyczących jego działalności innych agentów, znajduje się dokument następujący:

> „II A 2 Berlin, 16.9.1938.
>
> Dot.: Rozwiązania stosunków z informatorem S9.
>
> Były funkcjonariusz partii SPD, H. K., ur. 1.3. 1903 w Berlinie, zam. w Amsterdamie, pseudo „S9", nie będzie dalej zatrudniony jako mąż zaufania z powodu zdemaskowania go przez jego przyjaciół jako agenta i obserwowania go przez wymienionych".

Przyczyną skreślenia Kriedemanna z listy aktywnych agentów tajnych był inny raport, w którym funkcjonariusz Gestapo donosił:

> „Poufnie doniesiono, że były przywódca młodzieży niemieckiej, Westphal, rozprowadził w kołach swych przyjaciół wiadomość, iż. H. Kriedemann, zatrudniony w pewnej restauracji w Amsterdamie, jest przez swych przyjaciół obserwowany w celu utrudnienia mu wyjazdu do Niemiec. W tym wypadku bowiem jego byli współpracownicy, jak A. Nau, Baurichter, Westphal i Maschk byliby zaaresztowani za ich poprzednią nielegalną działalność".

Gdy Holandia została zajęta przez wojska niemieckie, Herberta Kriedemanna wysłano wraz z innymi członkami SPD do Niemiec, ale jak czytamy w nieopublikowanym artykule F. Dahlema „podczas, gdy inni deportowani towarzysze szli do więzień i obozów koncentracyjnych, Herbert Kriedemann szybko znalazł się na wolności..."

Akt oskarżenia Nadprokuratora Rzeszy z dnia 7.8. 1941 r. przeciwko Kriedemannowi w sprawie jego nielegalnej pracy w Niemczech zawiera następującą okoliczność łagodzącą:

> „Jak twierdzi (Kriedemann — przyp. aut.) — nie brał on więcej udziału w robocie nielegalnej, ponieważ nie uznawał polityki kierownictwa partii SPD i postanowił znowu rozpocząć normalny tryb życia. Ażeby dowieść swej dobrej woli zaofiarował się w 1936 roku dostarczać władzom niemieckim informacji o nielegalnej pracy SPD, musiał jednak po pewnym czasie zaprzestać tej działalności, ponieważ jego byli przyjaciele ideowi podejrzewali w nim agenta".

Dobra wola Herberta Kriedemanna była dość wymowna w skutkach. Mimo, że już w 1938 r. musiał zrezygnować z intratnej posady prowokatora, owa dobra wola i szczere chęci nie zniknęły. Dowodzi tego list pisany przez Kriedemanna w czerwcu 1941 roku z Nienhagen, gdzie pracował jako inspektor rolny. List skierowany jest do szefa Gestapo w Berlinie, Rikowskiego. Kriedemann m. in. pisze:

> „Kiedy przed moim odjazdem z Berlina oświadczył mi Pan, że również Nadprokurator Rzeszy przebacza mi moje błędy przeszłości, byłem oszołomiony z wdzięczności i radości. Codziennie zadawałem sobie pytanie, co to szczęście ma oznaczać i doszedłem w końcu do wniosku, że ma to być dla mnie zobowiązaniem do wdzięczności i działania. Zobowiązuję się być pomocnym przy wyświetlaniu wszystkich spraw... Proszę o zrozumienie i pomoc.
>
> Heil Hitler
> oddany
> Herbert Kriedemann".

Afera Herberta Kriedemanna jest w Niemczech głośna. Niemiecka prasa komunistyczna i odłam prasy socjalistycznej S. E. D. (Niemiecka Partia Jedności Socjalistycznej) atakują ostro zarząd SPD.

W odpowiedzi na potępiające głosy publicystów komunistycznych, dr. Schuhmacher, broniąc swego przyjaciela i współpracownika, inspiruje w podległej mu prasie SPD stref zachodnich artykuły, które w sposób mętny, ale za to bardzo górnolotny, starają się Kriedemanna wybielić i uniewinnić.

Sam Kriedemann oświadczył, że ogłoszone na podstawie aktów Gestapo publikacje — są oszczerstwem. Twierdzi on, że jego działalność agenturalna miała jedynie na celu skierowanie Gestapo na fałszywy ślad. Odnośnie roli, jaką odegrał po zajęciu Holandii i deportacji do Niemiec, Kriedemann objaśnia, że list do szefa Gestapo, Rikowskiego, napisał tylko po to, by zabezpieczyć sobie zajmowaną wówczas posadę inspektora rolnego w Nienhagen...

Wobec odnalezionych w berlińskim Gestapo aktów, dokumentów i raportów, naiwne tłumaczenia agenta S9 nie przekonywują dziś nikogo. Dla obiektywnego widza sprawa Herberta Kriedemanna jest jasna. Tym dziwniejsze jest, że nie wyciągnięto z niej dotychczas żadnych konsekwencji. Ani kierownictwu SPD, ani anglo-amerykańskim protektorom, nie przeszkadza widać zupełnie, że na czele dzisiejszych Niemiec stoją najautentyczniejsi gestapowcy.

Niemcy się odradzają. Jest już wódz, jest i Gestapo. Jeszcze tylko trochę im pomóc, trochę poprzeć finansowo i moralnie, i... maluczko, a ujrzymy ich znowu.

Jerzy Śladkowski.

»TRYBUNA WOLNOŚCI«

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

w Nr 5 (113) przynosi:

Gen. Fr. Jóźwiak (Witold):
Na szlakach walki o wyzwolenie Polski

Włodzimierz Sokorski:
Nowy etap — nowe zadania

Józef Sieradzki:
Upolityczniona szkoła

Aleksander Litwin:
Zagadnienie handlu i rynku wewnętrznego

W dziesiątą rocznicę zamknięcia „Dziennika Popularnego"

Stanisław Trojanowski:
Solidarność słowiańska

Jedność czy robicie ruchu roboniczego i szereg innych artykułów.

Stałe działy:

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ
Z ŻYCIA PARTII
NA WIDOWNI MIĘDZYNARODOWEJ
KRONIKA KULTURALNA.

AUSTRIA DZISIEJSZA

Zbliża się chwila, kiedy rozstrzygną się losy Niemiec i Austrii. Wiedeń dużo obiecuje sobie po tych konferencjach W pierwszym rzędzie zniesienie granic pomiędzy poszczególnymi strefami okupacyjnymi, a następnie wycofanie wojsk alianckich.

Czy rząd austriacki może wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności gospodarczej i politycznej już teraz? Kanclerz Renner jest przekonany, że tak. Nadzieje te opierają się na dwóch przesłankach:

1. Że wielkie państwa dopomogą gospodarczo Austrii, która nie jest samowystarczalna i jako pierwsza padła ofiarą hitlerowskiej agresji.
2. Że po przeprowadzonej denazifikacji Austria wpłynęła na spokojne wody demokratycznej polityki i znajdzie uznanie wielkich mocarstw.

Pierwsza przesłanka o nieco sentymentalnym brzmieniu jest wyrazem powszechnej opinii w Austrii. Wiedeńczycy, którzy są z natury spokojni, wygodni i leniwi, są skłonni wierzyć, że wszystkie mocarstwa zaczną prześcigać się wzajemnie, byle ów artystyczno - kupiecki naród o wysokiej kulturze, żyjący w kluczowym punkcie Europy, nie zginął. Na ogół panuje rozczarowanie, że Austria nie jest uprzywilejowana w stosunku do innych małych narodów.

Jakkolwiek gospodarka państwowa jest zupełnie rozbita i stoi przed ciężkim zadaniem, to bogactwo przeciętnego obywatela jest znaczne. W żadnej innej stolicy Europy nie spotyka się obecnie tylu pięknych futer, tylu kosztowności i złota, tak wygodnie i dostatnio urządzonych mieszkań. Mimo to odnosi się wrażenie, ogólnego niedostatku i nędzy, ludzie wolą utrzymywać się z niskokalorycznych przydziałów kartkowych, niż wysprzedawać się ze swoich dostatków, aby kupić żywność na czarnym rynku. Rzecz, która jest zupełnie obca polskiej psychice. Tym samym duchem owładnięte jest kierownictwo państwowej gospodarki. Przemysł austriacki pracuje tylko i wyłącznie na użytek zagranicy, wewnętrzny rynek nie otrzymuje nic z tych wspaniałości. Zabroniona jest sprzedaż artykułów eksportowych w Austrii, mimo dotkliwego braku tych przedmiotów. Dzięki tej polityce oszczędzania wytworzyła się paradoksalna sytuacja, że w wielu wypadkach Austria potrzebująca pomocy, kapitałów i subwencji zagranicy, udziela innym państwom de facto kredytów.

Austria jest słaba i ta sama słabość była przyczyną brunatnej choroby w państwie przed trzydziestym ósmym rokiem. Mimo denazifikacji grozi Austrii dzisiaj znowu recydywa. Młodzież z małymi wyjątkami, zwłaszcza *inteligencka, jest faszystowska*, a starsi są na najlepszej drodze do narodowego socjalizmu. Sprzyja temu ogólne niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy, gdyż Wiedeńczycy w pierwszym rzędzie rozumują przez żołądek. Dopóki przeciętny mieszczanin nie ma swojego knedla i „a Glaserl Wein", nie jest zadowolony.

Przez wspólne przeżycia na froncie, przez podobieństwo losu obecnie, przez wspólny język, przez wiele czynników, czuja się Austriacy związani z Niemcami. Wielu z nich należało do partii, wielu kandydowało, a jeszcze więcej było sympatyków. Na tym podłożu o niewyraźnej konsystencji została utworzona demokratyczna nadbudówka i stąd przeprowadzono denazifikację.

Można sobie łatwo wyobrazić, co z tego wynikło.

Najcharakterystyczniejsze jest stanowisko młodzieży.

Słyszeliśmy, że przed miesiącem odbyły się rozruchy na uniwersytecie wiedeńskim. Przeciwko faszystowskim studentom demonstrowały spontanicznie tłumy robotników obu partii lewicowych i doszło do wymiany poglądów. W kilkunastu wypadkach epilog rozegrał się w ambulatorium chirurgicznym.

Przedstawiciele pracowników fizycznych zażądali od rektora i ministra oświaty ingerencji i oczyszczenia szkół wyższych z niepożądanego elementu, a w pierwszym rzędzie z oficerów SS i z działaczy partii hitlerowskich. Sprawa wylądowała w parlamencie i na posiedzeniu komisji sojuszniczej.

Ministerstwo usiłowało pomniejszyć te zajścia i przekonać świat, że wszystko jest dobrze na tym najlepszym ze światów.

Czy rzeczywiście nie ma powodu do obaw?

Miałem sposobność słyszeć oświadczenie jednego z głównych przedstawicieli młodzieży szkół wyższych:

Wir bedienen uns der deutschen Sprache, wir haben deutsche Kultur und deutsche Erziehung, wir sind folgerichtig Deutsche und daran ist nichts zuandern. (Mówimy po niemiecku, mamy niemiecką kulturę i niemieckie wychowanie, więc jesteśmy Niemcami i tego nie można zmienić).

Do powyższych słów można dodać, że stereotypowość poglądów o polityce, roli narodu niemieckiego państwa, rodziny i jednostki, nienawiść do wszystkiego, co nie wielkoniemieckie, to źródła biernej siły narodowego socjalizmu, który przetrwał wśród młodej inteligencji austriackiej.

Dlatego też młodzież, tyle samo porywcza, co głupia, skandowała przed uniwersytetem: wir waehlen nich weiss, wir waehlen nicht rot, wir waehlen schwarz - weiss - rot. (Wybieramy nie biało ! nie czerwono, lecz czarno-biało-czerwono).

Czy młodzież jest hitlerowska? Tak. To wyznanie wiary składa studiująca młodzież austriacka wielokrotnie i uważa to nawet za tak naturalne, że nie próbuje zataiać. (A więc inaczej niż miarodajne czynniki, które zaprzeczają kategorycznie).

Oto dosłowne tłumaczenie z pisma akademickiego. „Akademische Rundschau" z dn. 20. 2. 46 r., po zajściach na uniwersytecie:

> Od najwcześniejszej młodości wpajano w nich (w młodzież) narodowo-socjalistyczne hasła i militarystyczne zasady wychowawcze. One stały się częścią ich wykształcenia. Ci młodzi ludzie nie znają prawdziwej demokracji i do dzisiejszego dnia nie mieli okazji poznać jej. Jeśli zatem tu i ówdzie padnie z szeregów młodzieży jakieś słowo, tchnące duchem nazistowskim, to można nad tym ubolewać, ale tylko głupiec będzie się temu dziwił.
>
> Gdyby jednak ktoś przypuszczał, że można tym ludziom, pomiędzy którymi znajduje się wielu prawdziwych idealistów, wybić z głowy te ideę brutalna siła, ten osiągnie dokładnie przeciwieństwo tego, co zamierzał. P r a w d z i w e j idei nie można usunąć przez przemoc.
> Prawdziwej idei!

Czy można się dziwić? Tylko głupiec. Mądry powinien wiedzieć, że tak jest. A czy można mieć o to pretensje do młodzieży akademickiej? Na to pytanie odpowiedział w następujący sposób prezes austriackiej młodzieży szkół wyższych:

> Nie wolno robić młodzieży wyrzutów za jej polityczne nastawienie, jeśli obecny prezydent państwa, w roku 1938 kanclerz, głosował za „Anschluss'em" do Niemiec: tak!

I w tym miejscu sprawa staje się drażliwa, gdyż trzeba by zarzuty rozciągnąć na wychowawców tej młodzieży, którzy jeszcze wciąż są rozsadnikami narodowego socjalizmu ex cathedra, na możnych opiekunów, mecenasów i popleczników.

S. M. Jędrzejowski

Wiedeń.

TRUDNE MIESIĄCE WŁOCH

Rzym, zima 1947.

Włochy powojenne są tylko składową częścią Europy zrujnowanej, rozbitej społecznie i politycznie, biednej ekonomicznie, z trudem leczącej swoje rany.

Półwysep apeniński był terenem jednej z najpowolniejszych kampanii ofenzywnych tej ostatniej wojny. Zniszczenia spowodowane tą ofenzywą są olbrzymie. Wiele pięknych miast włoskich świeci pustką i ruiną. Majątek, zawsze ubogi, tego kraju, jest jeszcze biedniejszy w tym trudnym czasie powojennym.

„Dobrze im! — powiedzą liczni — nie trzeba było się pchać do wojny". I będą mieli poniekąd rację. Poniekąd tylko. Naród włoski ponosi odpowiedzialność za faszyzm, za jego panowanie i panoszenie się i za jego tragiczne skutki, ale powtarzam, ponosi ją tylko do pewnego stopnia. Nie trzeba sobie czynić złudzeń. W okresie przedwojennym, Mussolini doszedł do zamącenia umysłów olbrzymich mas społeczeństwa. Sny o potędze, koloniach, flocie, imperium, bogactwach, najróżnorodniejszych afrykańskich „ziemiach obiecanych" opanowały miliony ludzi. I tu niewątpliwie tkwi wielka odpowiedzialność Włochów! Nie wszyscy byli faszystami. Liczni, bardzo liczni, byli przeciwnikami faszyzmu. Brak im jednak było jedności, brak skoordynowania akcji, inicjatywy i ponad wszystko było pewne wygodnictwo — „menefreghismo" (mene frego — nic mnie to nie obchodzi. Przysłowiowe ordynarne powiedzenie włoskie, z zapałem używane przez Mussoliniego). Oczywiście obok tych przewinień społeczeństwa włoskiego, istnieją przyczyny natury głębszej i bardziej konkretne. A więc ścisła współpraca międzynarodowych kół przemysłowych, które łożyły szczodre sumy, od jego zaczątków, na ruch Mussoliniego. Wśród nich rej wodził kapitał francuski, kulminując swoją podłą akcję sojuszem między dwoma pośpiesznie zlikwidowanymi świadkami tych machinacji — Lavalem i Mussolinim.

Obaj ci ludzie mogliby „wyśpiewać" wiele, bardzo wiele. Ostatni z nich był szczególnie obficie zaopatrzony w materiał dowodowy o współpracy faszyzmu z kapitałem zachodnioeuropejskim i ośrodkami znajdującymi się we Włoszech. Rozstrzelanie Mussoliniego w krwawych dniach powstania mediolańskiego kryje w sobie tajemnicę nagłego kontrrozkazu, żądającego natychmiastowego zgładzenia dawnego „Duce". (Pierwotne zlecenie K. W. N. Północnych Włoch nakazywało sprowadzenie Mussoliniego żywego do sztabu wojsk powstańczych).

Mussolini wiedział za wiele, mógł „wyśpiewać" za dużo na ewentualnym procesie i dlatego zginął tak wcześnie.

Winowajcami więc poczynań faszyzmu nie są tylko Włosi, którzy nosili „il distintivo" — znaczek partii faszystowskiej — w klapie marynarki czy palta. Winowajcy prawdziwi są znacznie mniej liczni, są dobrze ukryci i dobrze asekurowani. Podczas gdy Włochy poniosły stosunkowo znaczne straty ludzkie i materialne — ci prawdziwi inspiratorzy, finansjatorzy i organizatorzy faszyzmu włoskiego żyją nadal spokojnie i czynią wszystko by zrealizować raz jeszcze swój program. Jakżeż często przebywają poza granicami państwa włoskiego.

Wielka, skomplikowana i zacięta gra polityczna nabiera znowu rozmachu. W grze tej weźmie udział w charakterze bezpośredniego aktora, naród, cały naród włoski.

W samych Włoszech sytuacja dojrzewa.

Pierwsze bezwładne otumanienie po-wyzwoleniowe minęło. Pobite siły reakcji wychodzą z ukrycia i hardo podnoszą głowę. Uczciwy i masowy pęd do demokratyzacji życia Państwa włoskiego stał się dziś uciążliwym i często niesłychanie trudnym marszem.

Wyniki ostatnich wyborów są już ogólnie znane. Zachwiało się centrum polityczne. Nabrały na sile ekstremy. Sytuacja tak — ryzykowna w normalnym okresie pokojowym — jest niesłychanie niebezpieczna w przejściowym czasie „przedpokojowym". Olbrzymia ilość głosów — przeszło osiem i pół miliona — która przypadła chrześcijańskiej demokracji wysunęła na pierwszy plan system i ludzi, którzy okazali się absolutnie niezdolni do rządzenia i do wszelkiej współpracy koalicyjnej.

Drugie co do siły (w wyborach politycznych z 2 czerwca 1946 r.) stronnictwo — włoska partia socjalistyczna (P.S.I.U.P.) — przeżywa obecnie jeden z najgwałtowniejszych i najtragiczniejszych swoich kryzysów. W partii tej istnieje pięć kierunków (tworzy się podobno 6-ty), brak jej zupełnie jednolitej akcji, brak ludzi zdyscyplinowanych.

Na skrzydłach układu politycznego natomiast rosną potęgi. Na lewicy — komuniści. Ich pozycja poprawia się w bardzo szybkim tempie. Wyjście Togliatti'ego i kilku innych członków partii z rządu i ich równoczesne przerzucenie się na pracę „w terenie" silnie wpłynęło na zwiększenie sił komunistycznych.

Na prawicy rośnie i w milczeniu koordynuje siły blok monarchistyczno-liberalny. Awangardą tego bloku w aktywności, sukcesach i bezczelnej ordynarności jest osławiony ruch szarego człowieka, „Uomo Qualunque".

Sensacją w rzeczy samej był fakt gwałtownie wzrastającej siły tego ugrupowania (Vedi: rezultaty ostatnich wyborów samorządowych w wielkich miastach włoskich. W Rzymie Uomo Qualunque wyszedł na drugie miejsce po bloku lewicowym).

Na skutek niezgody i osłabienia partii socjalistycznej, włoska partia komunistyczna będzie zmuszona sama organizować na wielką skalę masy robotnicze. Socjaliści włoscy w ostatnich czasach zbytnio zajmowali się mieszczaństwem, stracili przez to poparcie w okręgach robotniczych a nie zyskali głosów wśród mieszczaństwa.

„Uomo Qualunque" natomiast coraz szerzej przyjmuje w swoje szeregi malkontentów z chrześcijańskiej demokracji, od liberałów, wreszcie i po prostu byłych, i nadal nimi pozostających, faszystów. Przyjaźń tego ruchu z organizacjami monarchistycznymi jest oczywiście jak najgorętsza. Kampania oszczercza i szantażowa przeciwko rządowi jest prowadzona z coraz to większym nasileniem przez prasę i propagandę Uomo Qualunque. Obok tego rozwija się akcja bandycko - zbrodnicza w niektórych dzielnicach Włoch (Sycylia i Emilia), gdzie rej wodzą elementy reakcyjne, często należące do Uomo Qualunque — zawsze ex-faszyści i to faszyści z pierwszych lat.

Jak jeden mąż, cała prasa prawicy — „nie wiadomo" znowu przez czyje miliony szczodrze finansowana — bije na alarm „przeciwko zbójcom komunistycznym". Stare systemy, te same oklepane środki.

W roku 1922, w roku marszu faszystowskiego na Rzym sytuacja była dość podobna, by nie powiedzieć analogiczna. Wtedy jak i dziś zabrakło siły socjalistów włoskich. Wtedy jak i dziś na całej linii zawiodło stronnictwo ludowe (partito popolare — dzisiejsza chrześcijańska demokracja). Wtedy jak i dziś zgrupowano malkontentów, zbrodniarzy, degeneratów pod ordynarnymi, bandyckimi znakami trupich czaszek i wtedy, wdziawszy czarne koszule, ruszono na Rzym!

Dziś...?

Dziś historia Włoch waży się na szalach polityki europejskiej. Wojska anglosaskie okupują jeszcze kraj. Istnieje nadal komisja aliancka. Państwo jest pod nadzorem.

Po dziś dzień w urzędach, na wysokich stanowiskach, znajdują się notoryczni zwolennicy faszyzmu. W ministerstwach prowadzonych przez chrześcijańskich demokratów — nikomu nie zależy na usunięciu ich. W ministerstwach i biurach administracyjnych prowadzonych przez lewicę nie można ich ruszyć, bo w znakomitej większości wypadków następuje interwencja ze strony władz okupacyjnych.

W kraju szerzą się strajki. Sklepy wylewają wszelkie dobra tego świata. Ale wejście nie jest dostępne dla każdego śmiertelnika. Ceny są zawrotne. Ludzie muszą się zadawalać często widokiem tylko tego, co jest przywilejem nielicznych bogaczy.

Włochy żyją na niskiej stopie życiowej. Gospodarka narodowa jest wciąż jeszcze chaotyczna. Brak wszelkich energicznych reform. Opiera się nadal na starym prawodawstwie faszystowskim, do którego „wprowadza się tylko należyte zmiany".

Ryszard Landau.

TREŚĆ NUMERU 10:

Andrzej Stawar — **Tadeusz Żeleński Boy** (VII). Jerzy Sawicki — **Oblicze prawne demokracji.** Stefan Żółkiewski — **Rozmaitości.** Adam Bromberg — **Wydawnictwa ruszyły.** B. S. — **Obrona Anny.** Zygmunt Radek — **Wiersz.** Jakub Litwin — **Dwie koncepcje wolności.** Bolesław Dudziński — **Epos żelaza i stali.** Przecław Smolik — **Wystawa pośmiertna malarstwa Stanisława Kamockiego.** AWK — **„Ożenek" Gogola i „Oświadczyny" Czechowa w Teatrze TUR w Łodzi.** Ewa Korzeniewska — **Epopeja o rewolucji.** Lech Budrecki — **W mitycznym „Luna-Parku".** Ewa Korzeniewska — **„Martwe dusze" Gogola.** Stefan Otwinowski — **W Krakowie.** A. B. — **Kronika filmowa. Kandyd — Tak toczy się światek. Przegląd prasy. Korespondencja. Noty.**

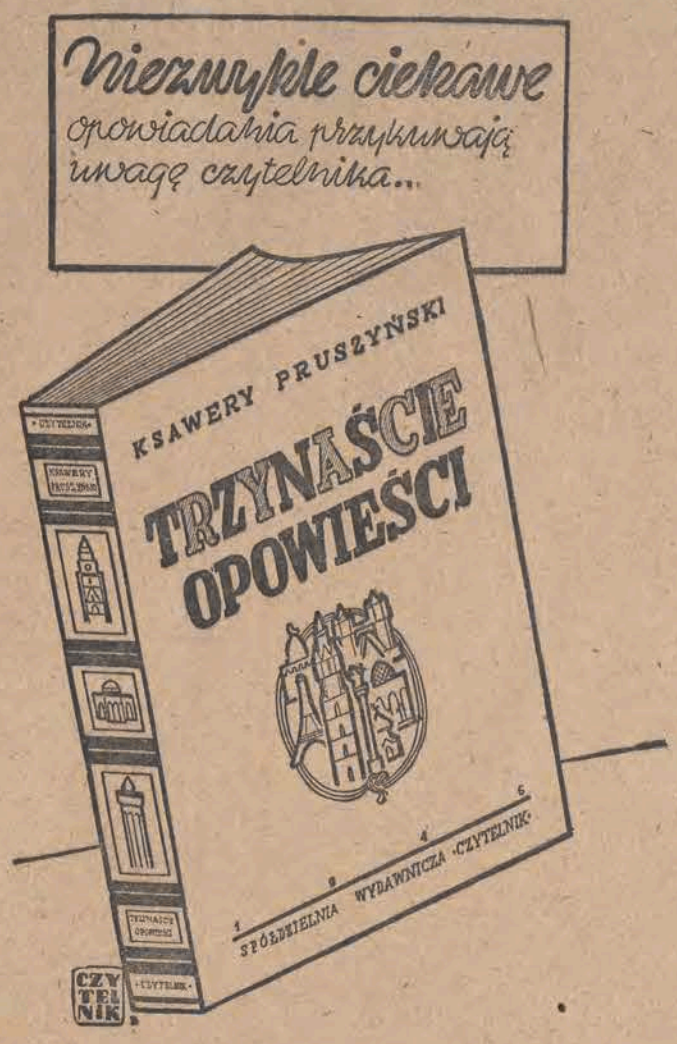

STANISŁAW DYGAT

HOTEL METROPOLE

(Fragment powieści „Pola Elizejskie")

Polski lotnik z zachodniej armii spotyka po wojnie w Paryżu amerykańską tenisistkę polskiego pochodzenia z którą już raz zetknął się w oryginalnych okolicznościach podczas wojny. Spędzają razem noc...

— Jane...

— Co, kochanie?

— Nic specjalnego... chciałem sprawdzić czy nie śpisz...

— Nie chcę mi się spać... Mam wciąż ciężką głowę od tego wina i koniaku...

— To dlaczego milczysz tak długo?

— Zdawało mi się, że o czymś myślisz. Nie chciałam ci przeszkadzać...

— Po co kłamiesz?

— Jakto?

— Chrapałaś, aż się mury trzęsły.

— Ej, żartujesz!

— Naprawdę.

— To śmieszne. Myślałam o tobie. Może te myśli zmieszały się ze snami, ale naprawdę nie wiedziałam, że śpię.

— Czy często nocowałaś w hotelach z mężczyznami?

— W hotelu tylko raz. To był młodziutki oficer marynarki. Najgłupszy chyba z całej U. S. Navy i śmiertelnie we mnie zakochany. Pisał do mnie wiersze w których porównywał mnie do gwiazdy świecącej nad Atlantykiem w czasie nocnych manewrów floty, lub też do rybitwy, która „płynnymi ruchy, za okrętem bieży" i codzień częstował mnie tymi głupstwami wraz z wiązanką kwiatów, a gdy miał odpłynąć by walczyć z Japończykami i przyszedł się ze mną pożegnać, drżały mu usta, miał łzy w oczach i prosił bym coś mu ofiarowała. Zrobiło mi się go żal i zaproponowałam żebyśmy poszli do hotelu. Zdaje się, że to go zaskoczyło, nie oczekiwał tego efektu. Na drugi dzień rano, niezręcznie usiłował ukryć uczucie niesmaku i traktował mnie mimowoli jak prostytutkę. Stracił dziewictwo i nie był już ani naiwny, ani wzruszający, ale głupi i ordynarny i widać było, że lubuje się w tym swoim nowym stylu. Nie masz pojęcia kochanie, jak często kobiety oddają się mężczyznom z litości. Ale to nigdy nie opłaca się żadnej ze stron...

— Ta litość jest premią udzieloną w nagrodę za wytrwałość. Oczywisty dowód próżności.

— A, zawracanie głowy. Ciekawam która godzina?

— Zobacz. Na stoliku obok ciebie, leży zegarek. Nie, nie, nie zapalaj światła, zaświeć zapałkę... która?

— Trzecia. Niedługo będzie świtać. Jak się nazywała ta knajpa w której byliśmy?

— Moulin de la Galette. Pamiętasz ten obraz Renoira?

— Nie widziałam. Amerykański, czy francuski?

— Nie rozumiem.

No ten film. Renoir był w czasie wojny w Ameryce i tam kręcił.

— Ah nie! Ja mówię o malarzu Renoirze, który już dawno nie żyje. Obraz namalowany.

— Mh... Czy jest ci przykro, że jestem głupia?

— Nie, Nie chciałbym, żebyś była mądra. W każdym razie nie w guście seminarzystek historii sztuki, które rozprawiają o malarstwie. Wolę, żebyś nie wiedziała wcale o Renoirze niż mówiła o jego obrazach inteligentne głupstwa.

— Popatrz! Tam w podwórzu naprzeciw naszego okna pali się światło. Całą noc się pali, odkąd przyszliśmy. Jest tam jakiś człowiek, albo jacyś ludzie, którzy też mają swoje nocne sprawy. Jakoś równolegle z nami... Czy to nie śmieszne?

— Nie... W tym nie ma nic romantycznego, jeżeli się wie co się za tym kryje. To są państwo Durand właściciele tego hotelu. Ona nazwała go dziś kollaboracjonistą i z tego powodu kłócą się ze sobą i nie mogą się w tej kłótni zatrzymać. Teraz prawdopodobnie zeszli już dawno z głównego tematu i wymawiają sobie wszystkie wzajemne niedociągnięcia od chwili poznania. Dałbym głowę za to, że ona mówi iż lekkomyślnie poświęciła mu życie, mogąc wyjść zamąż za handlarza win z Marsylii, który ją kochał do szaleństwa, on pokazuje jej guzik od spodni, który jest od trzech dni nieprzyszyty, a w przerwach usiłują podpatrzeć co dzieje się w naszym oknie, bo widzieli jak wchodziliśmy razem, i myślą z żalem, że jesteśmy szczęśliwi, ale pocieszają się tym, że za kilka lat będziemy się kłócić tak samo jak oni.

— Wszystko co mówisz jest smutne i w tobie samym jest smutek. Musisz się podobać kobietom, takie rzeczy wzbudzają uczucia macierzyńskie. Wyglądasz tak jakbyś był na kogoś albo na coś rozżalony, ale nie pewny swoich praw do wytoczenia pretensji.

— Może jestem rozżalony i może nie czuję praw do wytoczenia pretensji. Nie filozofuj, to nudne...

— Słuchaj dziecinko moja mała, uważaj z tym papierosem, bo już dwa razy strząsnęłaś mi popiół do oka... Poza tym powiedz czy nie uważasz, że jest najwyższy czas ażebyś mi w końcu powiedział kim właściwie jesteś? Ojciec mnie zawsze przestrzegał, ażebym trzymała się na odpowiedni dystans od mężczyzn, o których nie wiem, gdzie mieszkają, jaki jest ich zawód, ile zarabiają miesięcznie, kim są ich rodzice i jaka filozofia życia. Nie chciałabym zlekceważyć tej przestrogi.

— Jane, zakryj się kołdrą, zaczyna być zimno.

— Nie chce mi się. Daj papierosa.

— Słuchaj Jane! Przed chwilą mówiłaś, że milczysz dlatego, iż zdaje ci się, że o czymś myślę i nie chcesz mi przeszkadzać. Byłem ci za to wdzięczny. W takiej sytuacji jak ta, kobiety mają zwyczaj mówić: „Powiedz o czym w tej chwili myślałeś, chciałabym znać każdą najtajniejszą twoją myśl, chciałabym przeniknąć cię do cna, żebyś był mój, każdą najskrytszą komórką ciała i mózgu". Czy to nie okropne?

— Nie. To bardzo ładne i prawdziwe.

— Ale ty nie powiedziałabyś w ten sposób?

— Nie. Ale tak przed chwilą myślałam... Co to?

— Gwizd lokomotywy na Gare Montparnasse.

— Zdawało mi się, że alarm. Zupełnie z początku, nie?

— Ja raczej wywoływałem alarmy, niż się przed nimi kryłem.

— Czy ty czujesz w sobie jakieś ślady, które wojna w tobie zostawiła?

— Czemu nie odpowiadasz?

— Zastanawiam się... Raz nasza bateria zestrzeliła Messerschmidta. Zleciał o jakieś 200 metrów od nas. Sanitariusze nieśli na noszach niemieckiego lotnika, przechodząc koło naszej baterii zatrzymali się, żeby nosze poprawić. Byłyśmy dziwnie zażenowane, choć przed chwilą skakałyśmy z radości krzycząc, gdy samolot przez nas zestrzelony zlatywał. Ten lotnik to był młody blondynek o dziecięcej twarzy... wpatrywał się we mnie szklanymi oczami z dziwnym uporem... miałam ochotę uciec, ale hypnotyzował mnie swoim wzrokiem... nogi wrosły mi w ziemię... Wreszcie on jakby uśmiechnął się... o, widzisz do dziś dnia za gardło mnie chwyta... aż wstyd.... i powiedział: „Gerda", potym głowa mu opadła, umarł zdaje się, sanitariusze wzięli nosze i poszli dalej. Dziwna rzecz: koleżanki unikały mnie tego wieczora, a ja sama czułam się jakby czemuś winna, popłakiwałam po kątach. Ale na drugi dzień znów zestrzeliłyśmy niemca, spadł gdzieś daleko, daleko, znów piszcząc skakałyśmy z radości (jednego kapitana strasznie zawsze te nasze piski i skoki drażniły) i nikt nie pamiętał o wczorajszym zdarzeniu. Ale czasem gdy się zbudzę w nocy, przypominam sobie imię: Gerda, myślę o życiu i śmierci i obezwładnia mnie zimny niepokój nie podobny do żadnych nocnych, ani dziennych strachów. Tak... Co jeszcze? Czy wiesz dlaczego właściwie gram w tenisa? Zawsze miałam wielki talent do tej gry. Dużo większy niż zapał. Grywałam sobie ot tak, nie myślałam nigdy o karierze zawodniczej. I teraz nie myślę. Ale zaraz po wojnie czułam w sobie bezdenną pustkę i niesmak. Trudno było wrócić tak odrazu do zwykłych zajęć domowych. Zaczęłam pilnie trenować. To dawało pozory walki, pobudzało pragnienia i stwarzało perspektywy. Być może tenis uratował mnie od jakiegoś poważnego załamania. Ale dziś kiedy wygrałam z Mason i... spotkałam ciebie, jest mi już niepotrzebny do niczego. Właściwie dziś naprawdę skończyła się dla mnie wojna. Myślę ze zgrozą o tym, że będę musiała jutro znowu się wygłupiać, biegać za białą piłką na czerwonym placu... Z czego się właściwie śmiejesz?

— Z tego filmu z Joan Crawford na temat tamtej wojny, który mi opowiedziałaś.

— Głupstwa!

— Posłuchaj Jane! Mnie ta wasza wojna amerykańska śmieszy: pewnego dnia wyszliście z waszych domów, uściskaliście rodziców, mężów czy żony, dzieci, zarzuciliście karabin na plecy i transportowiec zawiózł was na europejskie pola bitwy...

— Albo na azjatyckie...

— Albo na azjatyckie. Wszystko jedno. Walczyliście dzielnie, w imię haseł i w przekonaniu o słuszności sprawy, a po zawieszeniu broni powróciliście waszym transportowcem do waszych domów, uściskaliście rodziców, mężów czy żony i dzieci i nałożyliście cywilne stroje. Być może, iż w międzyczasie przemeblowano wasze mieszkanie, że umarł ktoś bliski, podrosły dzieci, postarzeli się rodzice, zdradził mąż czy żona. Wojna dokonała różnych przetasowań, była przyczyną różnych dramatów godnych przeniesienia do powieści lub filmowego scenariusza. Siedząc na werandzie w ulubionym fotelu i głaszcząc łeb wiernego wilczura Rexa (poznał swego pana gdy ten powrócił z wojny. Stawał na dwu łapach i lizał go po twarzy), rozmyślacie o okaleczeniach jakich doznały nasze ciała i dusze, zastanawiacie się nad okrucieństwem i bezmyślnością wojny, a wnioski włączacie w tok dramatu waszego życia, w którym jak na szachownicy przesuwają się w różnych kombinacjach figury. Ta sama gra toczy się dalej.

Gdzie ja mieszkam? W tej chwili w hotelu Métropole na rue d'Odessa. Innego mieszkania nie mam. Jaki jest mój zawód? Kiedyś zacząłem studiować architekturę, w tej chwili nie mam zawodu. Ile zarabiam miesięcznie? Ani grosza. Żyję z kapitału 1.500 funtów, które zarobiłem, jeżdżąc po zawieszeniu broni na pasażerskich liniach w Burmie. Kim są moi rodzice? Niczym obecnie. Mieszkają na ulicy Pierre Charron w Paryżu i wyrzekają na komunistów, to ich jedyne zajecie. Jaka jest moja filozofia życiowa? Nie mam jej wcale. Nie Jane, stanowczo twój ojciec ma słuszność! Powinien zabronić ci spotykać się ze mną.

— Chłopcze drogi! Musisz zacząć grać w tennisa, albo zbierać znaczki pocztowe. Ja nie rozumiem o co ci chodzi.

— Największy czar, jaki masz dla mnie zawiera się w tym, że nie jesteś w stanie tego wszystkiego zrozumieć.

— No, żebym tak zupełnie nie rozumiała, też nie można powiedzieć. Widziałam nawet podobny film pod tytułem „Ludzie bez jutra". Z Joan Crawford, jeśli cię to interesuje.

— Jane! Czy będąc małą często dostawałaś w skórę?

— Oj często!

— Nie dziwię się. Ale jednak ten system pedagogiczny zawiódł wobec ciebie.

— Za co ty chciałbyś mnie zbić?

— Ja, za oszustwo.

— Mianowicie?

— Usiłujesz sobie nadawać styl, na który nie masz pokrycia.

— To każdy trochę robi. Myślisz, że ty nie? Z twoją obrażoną i umęczoną miną wygnańca i wędrownika bez dachu nad głową?

— Nawet nie wiesz jakie to ma pokrycie. Ale to jest poza zasięgiem twoich możliwości pojmowania. To zupełnie coś odmiennego niż film z Paulem Muni, o niewinnie posądzonym, który musi kryć się w Texasie i w dzień Wigilii zagląda w okno domu gdzie jakaś rodzina przy wigilijnym stole w szczęściu i spokoju śpiewa chórem kolędy.

Ty, stylem bezmyślnej amerykańskiej girl, usiłujesz zagłuszyć w sobie słowiański niepokój. Możesz oszukać reporterów na stadionie Rollanda Garrose, ale nie mnie!

— Hi, hi, hi! Nawet nie wiesz jaki jesteś śmieszny! Ja jestem akurat taka jaka jestem i nic nie udaję, niech mnie piłki Dunlopa biją!

— Nie dałbym za to złamanej Dacoty, czy ty nie orientujesz się doskonale kto to był Renoir...

— Oczywiście, że teraz już się orientuję. Renoir był malarzem, czyli facetem, który nie reżyseruje filmów, a maluje obrazy. O, masz! Czy ty wiesz? Ile razy spotkałam w życiu jakiegoś Polaka usiłował mi wmówić, że jestem kimś zupełnie innym niż jestem! Z tobą nie jest jeszcze tak źle. Przed wojną pewien dziennikarz z Warszawy wmawiał mi, że jestem Matką Boską Ostrobramską, a potym pogryzł ministra z którym robił interwiew, a kiedy nakładali mu kaftan bezpieczeństwa krzyczał, że ten minister to zdun z ulicy Targowej, który wziął od niego zaliczkę i nie tylko nie zreperował pieca, ale skradł wszystkie kafle i uciekł do Ameryki.

— Kochanie, czy ci nie wstyd zmyślać tak niemądre anegdotki?

— To jest dużą mądrzejsze od tego podejrzliwego podpatrywania każdego gestu i słowa, za którym coś niby się ma kryć. Co za słowiański niepokój, do diabła? Co to wogóle znaczy? Ja ci powiem co to znaczy. Teraz ja ci powiem co się za tym kryje: niezapłacony rachunek za telefon, chociaż poczta jest pod nosem, rosnący stos listów na które trzeba odpowiedzieć, klucz, który się zapodział i odklejona tapeta przez którą nie domykają się drzwi, miękki fotel, tak wygodny, że ciężko z niego wstać, w którym się marzy o zarobieniu fury pieniędzy, przyjaciel...

— Jane...

— Co kochanie?

— Przestań już.

— Już przestałam.

— Jane?

— No?

— Wiesz co?

— No?

— Wiesz co ty jesteś?

— Co?

— Gwiazda nad Atlantykiem...

— ...Głuptasie...

Niebo za oknem jest błękitne, pełnym błękitem dojrzałego już dnia. Podwórze przepełnia po brzegi słoneczny blask, którego nie ma w pokoju ociężałym jeszcze nocą. Zegar ze świadomością osoby dawno rozbudzonej uderza jedenaście razy. Ktoś przez okno głośno rozmawia z kimś na podwórzu. Lekki wiatr kołysze firanką. Na stoliku leży kartka:

„Halloh, kochanie! Tak smacznie spałeś, że nie miałam serca cię budzić. Lecę do swojego hotelu, biorę kąpiel i walę się spać, a potym frunę na place. Przyjdź tam koło czwartej. Całuję bardzo mocno

Jane"

P. S. Zapomniałam powiedzieć ci dość ważnej rzeczy: Z tym oficerkiem marynarki przed pójściem do hotelu, zaszliśmy do urzędu stanu cywilnego. Jestem mężatką. Hm... J."

Historyczno-literacki osąd piśmiennictwa polskiego lat międzywojennych przez „Gazetę Ludową"

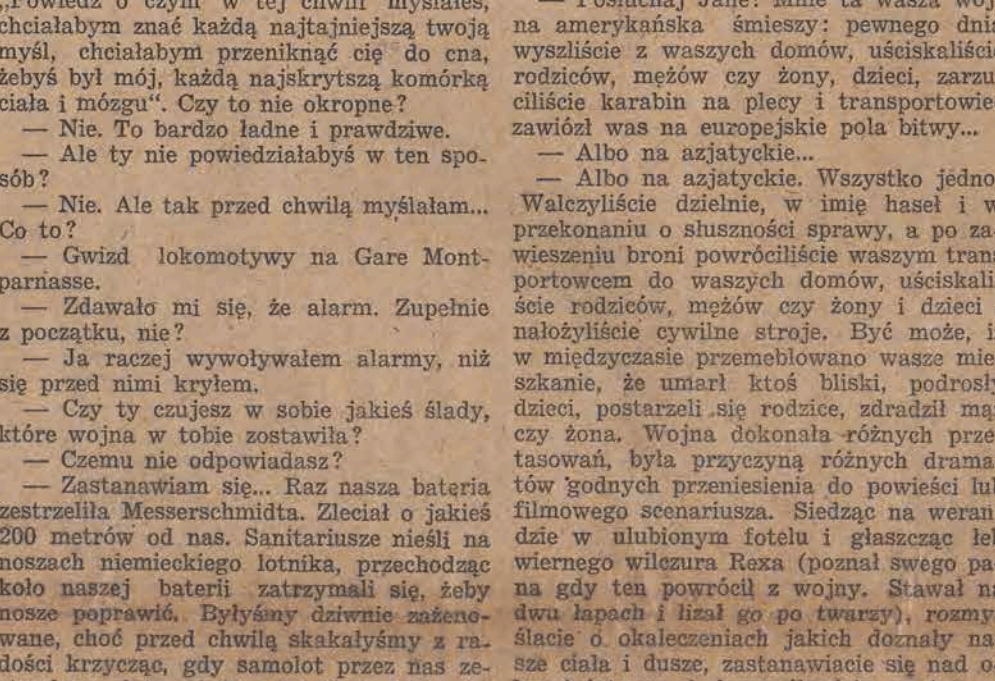

rys. M. Piotrowski

**„Skamandryci demoralizowali Boya,
Boy demoralizował Skamandrytów".**
(„Gazeta ludowa", art. „Starzy i młodzi" Nr 60 z dnia 3.III.47 r.)

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

Przegląd piśmiennictwa historycznego za rok 1946

Ruch wydawniczy w ubiegłym roku w zakresie historii zasługuje na specjalne omówienie.

Nietylko z powodu rozmiarów artykułu, ale i z przyczyn o których poniżej, o pełny referat w tym przedmiocie nie można się pokusić, jednakże niektóre charakterystyczne cechy okresu sprawozdawczego rzucają się w oczy i im przede wszystkim chciałbym poświęcić uwagę.

PARTYKULARYZM I PRZYPADKOWOŚĆ

Dominującym zjawiskiem dla wydawnictw w ogóle jest ostry partykularyzm, spowodowany trudnościami czy nieumiejętnością kolportażu, a polegający na tym, że wydawnictwa krakowskie nie docierają wcale lub nadchodzą z ogromnym opóźnieniem do Łodzi i Warszawy i naodwrót wydawnictwa łódzkie do Krakowa czy Wrocławia. O ile prasa codzienna i tygodniki potrafiły już ze znacznym powodzeniem przemóc przestrzeń izolującą każdy z tych ośrodków produkcji wydawniczej, to książki i periodyki rzadziej ukazujące się ulegają jeszcze w pełni potędze odległości. Łódź bliższa jest Warszawie niż mitycz ny prawie Kraków, ale zobaczyć książkę za oknem księgarskim Warszawy to nie znaczy wcale powrócić do Łodzi (choćby najpowolniejszym środkiem lokomocji) i móc ją kupić w miejscowej księgarni. Co dopiero myśleć o książce na prowincji!

Wszystko to odnosi się oczywiście również i do wydawnictw historycznych i dlatego o tym piszę.

Przemoc przestrzeni to nieuniknione skutki wojny, rozchwianie więzi cywilizacyjnych, zniszczenie środków transportu. Okazuje się jak trudna jest w tym zakresie odbudowa.

Kandydatem na czytelnika lektury historycznej kieruje obecnie zawartość witryn księgarskich w większym stopniu niż przed wojną, ponieważ pozbawiony jest innych w tej mierze informatorów. Również i historyk dowiaduje się o nowych wydawnictwach historycznych jeszcze przypadkowo; najpoważniejsze, najzasobniejsze i najinteligentniej prowadzone księgarnie nietylko nie posiadają wszystkiego z wciąż jeszcze niedużej w absolutnych cyfrach produkcji wydawniczej, ale brak im wiadomości o książkach czytanych już w innym mieście od wielu tygodni.

Książek historycznych ukazało się w ubiegłym roku w porównaniu z ogólną produkcją bardzo wiele. I to jest jedna z przyczyn, dlaczego piśmiennictwo w zakresie historii zasługuje, jak mi się zdaje, na specjalną uwagę.

INSTYTUCJE WYDAWNICZE

Jakie książki ukazały się, jakiego rodzaju? A przede wszystkim kto je wydawał? Przede wszystkim — gdyż w zakresie piśmiennictwa historycznego, naukowego i popularnego, szczególną rolę odgrywały już i przed wojną (gdy wydawcami były głównie firmy prywatne), instytucje naukowe. Dzisiaj na czoło wydawców wysunęło się kilka spółdzielni wydawniczych, o założeniach ideowo-społecznych i na nie przypada większość produkcji książkowej. **Publikacje historyczne są jednak nadal głównie dziełem specjalnych instutycji naukowych.**

Przed wojną prym wiodły wśród nich towarzystwa historyczne, względnie sekcje historyczne towarzystw naukowych ogólniejszych, ogłaszające w seriach prace z reguły ściśle naukowe, z tzw. aparatem naukowym t. j. przede wszystkim z przypisami źródłowymi. Niektóre z tych towarzystw naukowych miały już kilkudziesięcioletnią tradycję; w okresie międzywojennym powstały natomiast specjalne instytuty regionalne, naukowo-badawcze i wydawnicze; z nich Instytut Bałtycki i Instytut Śląski, kontynuując działalność organizacyjną przez czas wojny (w konspiracji nb.), odnowiły po wojnie swą działalność wydawniczą. Przybył po wojnie trzeci instytut tego typu. Instytut Zachodni, dla problemów niemieckich w ogóle.

Jakkolwiek interesuje je problem niemiecki, śląski czy bałtycki w ogóle, nietylko w jego aspekcie historycznym, to przecie wszystkie te trzy Instytuty przodują w ruchu wydawniczym historycznym.

Mając wyraźne zadania społeczne, nie ograniczały się te Instytuty nigdy do publikacji czysto naukowej, chciały — a dzisiaj chcą tym silniej — popularyzować i stąd rozmaite serie wydawanych wolnych częściowo lub całkowicie od „aparatu naukowego" — od obszernych opracowań syntetycznych, podręcznikowych, kompilacyjnych, do drobnych broszur, „skrótów", drukowanych odczytów popularnych.

Rola towarzystw naukowych natomiast jest w zakresie publikacji narazie minimalna.

SYNTEZY HISTORYCZNE

Specjalne miejsce w tym przeglądzie należy się prof. **Z. Wojciechowskiemu,** jednemu z najpoważniejszych naszych historyków już przed wojną, który w okresie okupacji rozwinął konspiracyjnie szeroką działalność naukowo-organizacyjną i na gruncie historii stał się inspiratorem wielu prac o charakterze syntetycznym, — stosownie do ówczesnych możliwości konstrukcyjnych oraz żywych w tym kierunku potrzeb społeczeństwa. Archiwa były prawie niedostępne, historyk mógł korzystać głównie z bibliotek prywatnych, a znowu współczesne problemy polityczne — okupacyjno-wojenne prowokowały problematykę historyczną: narodową i społeczną; **potrzebna była odpowiedź historyka na zasadnicze pytania,** nie szczegóły przeszłości, a **szeroki obraz przeszłości** — koncepcja i synteza stawały się sprawą żywą.

Jedną z niewielu w czasie okupacj drukowanych konspiracyjnych książek była praca **Z. Wojciechowskiego** o stosunkach polsko-niemieckich w ciągu dziejów (okładka konspiracyjna: Karol **Szajnocha,** Szkice historyczne), po wojnie wydana ponownie pt. „Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagania" (Poznań 1945, str. 267). Tytuł tej książki mówi sam za siebie.

W 1946 r. ogłosił Wojciechowski napisaną w czasie okupacji monografię poświęconą panowaniu Zygmunta Starego. (Wyd. Arcta, str. 394).

Jest to pierwsza pozycja „Biblioteki Wiedzy o Polsce" z inicjatywy Wojciechowskiego przygotowywanej w czasie wojny. Miało to być wydawnictwo dostępne szerokim rzeszom publiczności, łączące syntezę z przystępnością przedstawienia. „Przystępność przedstawienia tylko na gruncie syntezy jest możliwa"—wedle formuły Wojciechowskiego, a zatem synteza miała być funkcją popularyzacji a nie naodwrót.

Biblioteka, według wynurzeń jej inicjatora, miała przynieść tomy poświęcone kolejno geografii Polski, człowiekowi w Polsce, językowi polskiemu, dalej pradziejom Polski, następnie kilkanaście tomów zbiorowo opracowanych Dziejów Polski, wreszcie tomy poświęcone dziejopisarstwu polskiemu. Projektowano serię o naszym pograniczu zachodnim i wpływach niemieckich, o stosunkach Polski z sąsiadami, o polskich mężach stanu i ich koncepcjach politycznych, serię społeczno-gospodarczą, oraz poświęconą historii polskich idej filozoficznych i politycznych. Wydawnictwo finansował St. Arct. Do powstania warszawskiego było już gotowych do druku pół setki rękopisów. Nie wszystkie uległy zniszczeniu. Niektóre ukazują się drukiem założonego przez Wojciechowskiego Instytutu Zachodniego, niektóre zostały odstąpione przezeń Instytutowi Śląskiemu i Instytutowi Bałtyckiemu, serię pod pierwotnym tytułem „Biblioteka Wiedzy o Polsce" zapoczątkował Zygmuntem Starym Wojciechowskiego Arct.

Nakładem księgarni St. Kamińskiego w Krakowie ukazała się książka **K. Maleczyńskiego** pt. Bolesław Krzywousty, zarys panowania (str. 292) — pierwsze z zapowiedzianych przez to wydawnictwo „monografii historycznych".

Księgarnia Akademicka w Poznaniu (jeszcze jedna firma w orbicie aktywności Z. Wojciechowskiego) ogłosiła zarys dziejów i kultury Prasłowiańszczyzny pióra **J. Kostrzewskiego** (str. 164), Instytut Zachodni — obszerne studium **M. Friedberga** pt. Kultura polska a niemiecka (2 tomy, str. 362+310)— w istocie zarys ustroju i kultury polskiej w średniowieczu.

Instytut Śląski wydał **K. Piwarskiego** Historię Śląska (str. 448), Instytut Bałtycki — **K. Górskiego,** Państwo krzyżackie w Prusach (str. 295, por. mój art. w Kuźnicy, nr 32) i **Piwarskiego** Dzieje Prus wschodnich w czasach nowożytnych; (książki Piwarskiego do Łodzi nie dotarły jeszcze, choć pojawiły się przed wielu tygodniami).

Z zagadnień szczegółowszych **Z. Kaczmarczyk** ogłosił zarys pt. Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry (str. 267), **J. Mitkowski** Pomorze zachodnie w stosunku do Polski (str. 223). Obie prace znowu w Instytucie Zachodnim.

Szereg prac monograficznych ogłosił Instytut Śląski z zakresu własnych zainteresowań historią. Warto wymienić z pośród nich **R. Grodeckiego** Powstanie polskiej świadomości narodowej (str. 51), **E. Maleczyńskiej** Polskie tradycje uniwersyteckie i kulturalne Wrocławia (str. 86), **J. Feldmana** Problem polsko-niemiecki w dziejach (str. 175), **K. Popiołka** Trzecie Śląskie Powstanie (str. 215).

Oto zespół prac — naogół o charakterze podręcznika na poziomie szkół wyższych: monografie dwu królów — dwu ważnych okresów historii polskiej, zarysy dziejów prowincji zachodnich naszego państwa, Prasłowiańszczyzna i Średniowiecze — impulsem poznawczym dla nich wszystkich była sprawa niemiecka.

Możliwe, że ta okoliczność wpłynęła i na kierunek problematyki w obrębie tematów: **są to przeważnie „dzieje polityczne";** nawet sprawy ustroju i kultury widziane są bardziej przez „polityka" (dla spraw zagranicznych) niż od strony powiązań i znaczeń społecznych. Ale też autorami wymienionych książek są w większości historycy polityczni.

W tym miejscu przychodzi na myśl cała wiązanka zagadnień, dotyczących charakteru historiografii polskiej, perspektyw przeorganizowania jej w kierunku problemów socjalnych i tym samym metodycznego unowocześnienia jej, a wreszcie: co to jest historia polityczna? czy historia społeczna i gospodarcza) nie jest najbardziej polityczną z pośród działów historii? i co stwarza główną barierę między płaszczyznami obserwacji historyka— czy nie sposób rozumienia współczesnego życia i jego motorów. Stąd inne fakty, inne związki, a przede wszystkim inne słownictwo! Ale te sprawy wymagałyby osobnego omówienia.

A teraz podręczniki „kursowe". **Wojciechowski** (po śmierci Oswalda Balzera i St. Kutrzeby najpoważniejszy z historyków ustroju Polski, specjalista dziejów średniowiecznych) ogłosił zarys podręcznikowy (na poziomie uniwersyteckim) dziejów ustroju Polski do 1505 r. pt. Państwo Polskie w wiekach średnich (Księgarnia Akademicka, Poznań, 1945, str. 276). Dzieło to omówiłem na łamach Myśli Współczesnej (nr 5). **J. Rutkowski** wydał Historię gospodarczą Polski, część I, obejmującą czasy przedrozbiorowe (str. 370); formalnie 2-gie wydanie Zarysu dziejów społeczno-gospodarczych Polski z 1923 r., por. recenzję moją w „Myśli Współczesnej" nr 6—7). Ukazało się też w okresie sprawozdawczym kilka podręczników w formie powielania, w ten sposób wydany został przedwojenny podręcznik historii dla szkół średnich **J. Dąbrowskiego;** tom I Historii Ustroju Polski w zarysie (Korona) Stanisława **Kutrzeby** według wydania z 1931 r.); skrypt wykładów **St. Estreichera** Rozwój ustroju państw na zachodzie Europy (wszystkie w Krakowie) i pierwsze części podobnego skryptu **K. Koranyi'ego** (Toruń). Przed wojną skrypty takie służyły tylko studentom danego uniwersytetu; obecnie rozchodzą się z braku książek jak książki.

Największą może niespodzianką jest 4-ty tom **Brücknera** Dziejów kultury polskiej, obejmujący czasy porozbiorowe 1795 (1772) —1914 (wyd. F. Pieczątkowskiego i S-ka, str. 639, cena 1200 zł — sic! za komplet 5.000 zł! Kto może kupować dzisiaj książki!)

POPULARYZACJA

Ukazało się też sporo „mniejszych" opracowań z zakresu historii — mniejszych tematycznie lub (a najczęściej i) objętościowo. Wiąże się z tym i trzecia cecha: są to z reguły wydawnictwa popularne—w tradycyjnym sensie, a nie tylko przez pominięcie przepisów naukowych. W tym zespole książek i książeczek charakter i poziom poszczególnych pozycji bywa oczywiście bardzo różny. Może jednak najw.aściwsza będzie próba zestawienia ich według pewnych grup treściowych.

A więc przede wszystkim tematyczny odpowiednik omówionej już grupy większych prac: problem niemiecki i ziem zachodnich Polski.

Jeszcze w 1945 wypuszczono na rynek wiele małych zeszycików z odczytami o ziemiach Zachodnich, zorganizowanymi w Krakowie przez Uniwersytet Jagielloński i Akademię Górniczą w ramach specjalnego kursu naukowo-informacyjnego. Broszurki te miały dać pierwsze informacje w różnych dziedzinach wiedzy, są wśród nich i tematy historyczne.

W Biblioteczce Popularno-Naukowej wydawanej przez „Książkę" ukazała się zwięzła, dobrze informująca broszurka **S. Zajączkowskiego,** Dzieje Zakonu Krzyżackiego (str. 138). Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych ogłosiło broszurkę **K. Górskiego,** Krótkie dzieje Prus wschodnich. Kilka broszurek o Słowiańszczyźnie zachodniej wydał u różnych nakładców prof. **J. Widajewicz,** we wszystkich przeważa postawa propagandowa nad naukową. **Z. Wojciechowski** ogłosił zbiór studiów (z różnych czasów) pt. Hołd pruski i inne studia historyczne (str. 152).

Państw. Wyd. Książek Szkolnych ogłosiło **Z. Podkowińskiej,** Człowiek w czasach przedhistorycznych (str. 192) — książeczka jest pomyślana przede wszystkim jako podręcznik dla kl. III szkoły powszechnej. Jako pierwsza pozycja Biblioteczki Historycznej Księgarni Wydawniczej St. Kamińskiego, Kraków, ogłoszony został szkic **T. Manteuffla** pt. Słowiańszczyzna pierwotna (str. 43).

Niewiele miejsca zajmuje wśród tych książeczek Średniowiecze; poza pozycjami już odnotowanymi wymienić tu można **T. Manteuffla** Feudalizm (przedruk broszurki przedwojennej — obok Podkowińskiej druga pozycja z dziejów powszechnych).

Daje się natomiast zauważyć wśród tych książeczek popularnych wcale znaczne zainteresowanie dla problemów społecznych:

Nakładem Spółdz. Wyd. Prasa Chłopska wyszła rzecz **St. Inglota** pt. Udział chłopów w obronie Polski (str. 90). „Dziko" — bez odpowiedzialnego nakładcy ukazał się większy szkic **M. Tobiasza** pt. Szlachta i możnowładztwo w dawnej Polsce (str. 192 por. rec. moją w Kuźnicy, nr 28).

Działacze polityczni ogłosili kilka książeczek z historii ruchów politycznych; **T. Rek** dwa tomiki pt. Ruch ludowy w Polsce, **T. Jabłoński** krótką historię PPS.

Sp. Wyd. Czytelnik wydała zwięzły zarys podręcznikowy **N. Gąsiorowskiej** pt. Kapitalizm w rozwoju dziejowym (trzecia pozycja z historii powszechnej, wszystkie trzy zajmują się zagadnieniami ogólnymi ustroju i kultury, a nie zdarzeniami „politycznymi" — w przeciwieństwie do głównego tematu prac z dziejów Polski).

Problematyka społeczna skierowała autorów ku XVIII wiekowi i ku czasom porozbiorowym:

Spółdz. Wyd. Wiedza ogłosiła II wyd. książki **A. Próchnika.** Demokracja Kościuszkowska (str. 206), „Czytelnik" wydał rewizjonistyczną rozprawkę **B. Leśnodorskiego** p. t. Konstytucja 3-go Maja jako dokument Oświecenia (str. 80), a z pogranicza historii i publicystyki **A. Ostrowskiego** szkic o Kołłątaju (str. 56). Z okazji „roku kościuszkowskiego ukazało się kilka wydawnictw popularnych. Osobno wymienić trzeba ogłoszony drukiem odczyt **J. Rutkowskiego** w Polskiej Akademii Umiejętności o Uniwersale połanieckim w świetle europejskich reform rolnych XVIII wieku.

Z dziejów porozbiorowych wybrane zostały postaci Lelewela, Wielopolskiego i (z pogranicza już wolności) Daszyńskiego. „Czytelnik" ogłosił szkic o Lelewelu **Ign. Chrzanowskiego,** „Książka"—szkic o nim z odmiennych założeń ideowych **Z. Kormanowei.** Ksaw. **Pruszyński** wydał w „Czytelniku" książeczkę pt. Margrabia Wielopolski, „Wiedza" ogłosiła szkic **Próchnika** o Daszyńskim.

CZYTANKA

Na osobne miejsce w tym przeglądzie zasługuje wydana przez Marię i Zygm. **Wojciechowskich** czytanka historyczna „dla wszystkich", pierwsza w tym rodzaju. Tytuł: „Polska Piastów Polska Jagiellonów" (str. 479). Popularna, obficie ilustrowana, poświęcona czasom piastowskim i jagiellońskim i w ciągłym wykładzie przedstawiająca dzieje Polski do 1572, stara się pogodzić najlepszy poziom naukowy z wymaganiami dydaktycznymi. Przystępna forma słowna, obrazowość, obfitość pomysłów i bogactwo pouczających ilustracji — to wielkie zalety tej książki. Pochwały godne są sposoby jakimi posługują się autorowie by ożywić wykład. Bawiąc uczą. A więc przy okazji Grunwaldu cytują odpowiedni tekst z Długosza, aby zaraz przeskoczyć do sienkiewiczowskiego opisu tego samego fragmentu bitwy w „Krzyżakach". W udatny sposób analizują różnice opisów i charakter obu tekstów; do źródła historycznego kierują w ogóle często, informują skąd posiadamy wiadomość, gdzie znajduje się dokument historyczny, kto wreszcie z historyków zajmował się podobnym problemem. Dają czytelnikowi wiele wiadomości „kulturalnych", wzbogacających, ożywiających i urealniających treść historyczną.

Wielką rolę spełnia ilustracja: pokazuje krajobraz i budownictwo, ruiny i rekonstrukcję, dokument pisany i wykopalisko, sceny z dawnego życia etc.; w sumie — warto odnotować cyfry!—17 mapek, 9 tablic genealogicznych, cztery tablice barwne (i brzydkie) i 191 ilustracji!

Nazwano już tę książkę nowymi „Wieczorami pod lipą", biorąc pod uwagę poczytność pierwowzoru i jego rolę wychowawczą, jaką spełnił w pokoleniu naszych ojców. Jakkolwiek Wojciechowscy nie spłycają dla popularności przebiegu dziejowego i potrafią sięgnąć nieraz poza wytarte słowa do rzeczywistych przyczyn i wyrazić życiową powagę konfliktu, to jednak w wielu miejscach ulegają tradycyjnemu stylowi „opowiadań z dziejów ojczystych" i wszystko wówczas jest wzniosłe, mądre, bohaterskie, doskonałe.

TEKSTY ŹRÓDŁOWE

Wydawnictwo Księgarnia Akademicka w Poznaniu rozpoczęło publikację Biblioteki Źródeł Historycznych: w pierwszych zeszytach ogłoszono Artykuły Henrykowskie, Złotą Bullę, Konstytucję 3-go Maja wraz z ustawą o miastach i Uniwersały w sprawie chłopskiej z czasów Insurekcji kościuszkowskiej. Sposób ogłaszania tekstów w tym wydawnictwie dowodzi, że mają one służyć przede wszystkim studentom uniwersytetu uczęszczającym na seminaria historyczne.

PRACE NAUKOWE

A książki ściśle naukowe, z pełnym aparatem, z przypisami i odsyłaczami źródłowymi? Bardzo niewiele takich prac ukazało się po wojnie.

P. A. U. w pracach Komisji Orientalistycznej ogłosiła studium **T. Lewickiego** pt. Polska i kraje sąsiednie w świetle „Księgi Rogera" geografia arabskiego z XII w. Al. Idrisi'ego, część I, zawierającą uwagi ogólne, tekst arabski i tłumaczenie, a w serii Pomników dziejowych Polski Relację Ibrahima Ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich w przekazie Al-Bekri'ego — w opracowaniu **prof. T. Kowalskiego.** W rozprawach Akad. Um. (Wydz. Hist.-fil. S. II, t. 46) ukazała się praca **J. Widajewicza** pt. Studia nad relacją o Słowianach Ibrahima Ibn Jakuba.

T. Lehr-Spławiński wydał w Instytucie Zachodnim studium lingwistyczno-historyczne o pochodzeniu i praojczyźnie Słowian (z przypisami i planszami str. 237). Akademia Umiejętności wydała, zdaje się, większą pracę **H. Müncha** o miastach Polski zachodniej w wiekach średnich. Nakładem Spółdz. Wyd. „Czytelnik" ukazała się praca **N. Assorodobraj** pt. Początki klasy robotniczej, problem rąk roboczych w przemyśle polskim epoki stanisławowskiej (str. 270), oparte na materiałach archiwalnych w większości już dzisiaj nieistniejących; niezmiernie interesująca książka ta wywołała recenzje ze strony socjologów, historyków i polityków.

Spółdz. Księgarska „Czytelnik" w Krakowie jako pierwszy tom Biblioteki Ruchów Społecznych (za nazwę serii nie ręczę) ogłosiła rzecz **M. Tyrowicza** pt. Polski Kongres polityczny we Wrocławiu w 1848 r.

A więc na siedem pozycji aż cztery z mediewistyki i jedna z prehistorii, w tym dwie to wydawnictwa źródeł do najdawniejszej **historii Polski. Co się dzieje z historią nowszą od najdawniejszej?!**

Osobne miejsce trzeba dać opracowaniom naukowym okresu wojennego: **W. Jastrzębowski** przedstawił w oparciu o bogaty materiał źródłowy Gospodarkę niemiecką w Generalnej Gubernii (str. 410). **J. Kirchmayer** Kampanię wrześniową (str. 270). **K. M. Pośpieszalski** ogłosił rzez pt. Polska pod niemieckim prawem (str. 279).

Ogłaszane licznie, zwłaszcza w początkowym okresie wolności wspomnienia i szkice

ADAM SCHAFF

POJĘCIE I SŁOWO

(Próba analizy marksistowskiej)

KSIĄŻKA — 1946 — STR. 218

z czasów okupacji, przede wszystkim z życia w obozach, mają wartość dokumentów historycznych, niektóre z nich stanowią już pierwsze próby obiektywnej systematyzacji materiału.

Ukazały się 25 i 26 zeszyt Polskiego Słownika Biograficznego (wyd. P. A. U.). Zawierają nazwiska Drohojowski—Działyński.

PROBLEMY ZASADNICZE

Szczególną pozycję zajmują dwa studia **J. Chałasińskiego:** socjolog chciałby wywołać dyskusję wśród historyków. Wywołał ją śmiałym i nie zwykle oryginalnym studium pt. Społeczna genealogia inteligencji polskiej („Czytelnik" str. 81), a właściwie wcześniej drukowanym w „Kuźnicy" fragmentem z niej. Dyskusja potoczyła się na łamach „Kuźnicy" i „Tygodnika Powszechnego". Artykuł Chałasińskiego w „Myśli Współczesnej" (nr 6—7) pt. Tworzenie legendy i naukowe zadania historii (poprzedzony odczytem na ten temat w Polskim Instytucie Socjologicznym) powinien sprowokować dyskusję naukową zasadniczą i sięgającą postawowych problemów historiograficznych.

W zesz. 6 „Twórczości" (czerwiec 1946) ogłoszony został większy artykuł **J. Feidmana** pt. Rozkład kultury mieszczańskiej, który zasługiwałby również na żywszy oddźwięk wśród intelektualistów.

HISTORIA OBCA

Opracowań polskich z historii innych krajów brak niemal całkowicie. Poza wymienionymi już skryptami z historii ustroju potrafię wymienić jedną tylko pracę E. Garbacika o wsi duńskiej (Biblioteka Studium Spółdzielczego U. J. str. 200) — pracę o charakterze naukowo-popularnym.

Nie wymieniam prac historycznych obcych, które zjawiają się w wyborze bardzo przypadkowym w naszych księgarniach. Niema ich zresztą wiele. Z tłumaczeń ukazały się drugie wydania popularnego zarysu Dziejów Anglii A. Maurois oraz monografii o Napoleonie historyka sowieckiego **Tarle'go.** U Przeworskiego wyszła złożona do druku jeszcze w 1939 r. Historia Francji pióra konserwatywnego historyka **J. Bainville'a.**

Kilka pozycji z zakresu historii znajduje się też wśród ogłoszonych przez „Książkę" polskich przekładów klasyków marksizmu.

PODSUMOWANIE

Już ten niekompletny przegląd świadczy o miejscu jakie piśmiennictwo historyczne zajmuje w powojennej produkcji książkowej w Polsce. **Ilość książek historycznych w stosunku do całości produkcji jest znaczna, w stosunku do książek z innych dziedzin wiedzy jest ogromna!**

Wśród nich przeważna część to książki w typie podręcznika poświęcone całym okresom dziejów lub większym problemom na przestrzeni całych dziejów; mają cechy opracowań kompilacyjnych i syntez zarazem; najczęściej ujawnioną podstawą **wykładu** jest zestawiona na końcu książki lub przy rozdziałach dotychczasowa literatura przedmiotu, studia źródłowe autora — raczej z tekstów drukowanych, rzadko archiwalne, są conajwyżej ogólnie wspomniane, czasem wolno się ich tylko domyśleć; proces powstawania konstrukcji myślowej wyłączony bywa zupełnie z tekstu książki, conajwyżej ujawniany w swoich wyższych warstwach, porządkowania faktów czyli ich interpretacji, z pominięciem elementarnych zabiegów: ustalania faktów. Przy takiej metodzie zaciera się nieraz wkład własny autora, utrudnione bywa też sprawdzenie słuszności tez zawartych w książce; podstawową rolę odgrywa zatem autorytet naukowy autora, powaga „firmy" — nazwiska historyka, który produkuje nową książkę.

Wykład podręcznikowy zaopatrzony nazwiskiem kompetentnego autora to właściwa forma kontaktu zwyczajnego czytelnika z nauką. Przed wojną nie wiele mieliśmy tego rodzaju prac historycznych, poza oficjalnymi podręcznikami historii dla szkół wszystkich stopni. **Wyjście ku publiczności przez historiografię naszą to wielki czyn, zasługujący na szczególną uwagę.**

Ale nauka każda żyje w dwóch kręgach, przez popularyzację — wśród społeczeństwa, przede wszystkim jednak **musi powstawać a** może powstawać czyli rozwijać się tylko w kręgu specjalistów.

Historia wśród historyków: gdy spojrzeć na to zagadnienie, sytuacja w okresie sprawozdawczym okaże się niepokojąca.

Personalne straty wojenne wśród historyków są wielkie, ubyło kilku spośród najpoważniejszych (Handelsman, Kutrzeba, Feldman, Estreicher), kilku przebywa jeszcze za granisą. Straty archiwalne i biblioteczne są olbrzymie, a zbiory ocalałe (poza krokowskimi) dopiero powoli porządkuje się do użytku. Nowe ośrodki uniwersyteckie zaczęły sobie formować materialną bazę pracy naukowej w warunkach niezmiernie trudnych; miejscowe archiwa są niewielkie, biblioteki naukowe trzeba dopiero zakładać, książek brak prawie zupełnie, fundusze na zakup są znikome, trudności transportu wielkie, atmosfery pracy naukowej jeszcze nie ma i nie łatwo ją stworzyć.

CZASOPISMA

W kręgu specjalistów pracy naukowej służą zebrania dyskusyjne i czasopisma fachowe. Polskie Towarzystwo Historyczne — oficjalna organizacja historyków polskich nie rozwinęła jeszcze po wojnie żywszej działalności. Kwatalnik Historyczny — organ Towarzystwa nie ukazał się dotąd, choć dawno już słychać o przygotowaniu pierwszego, żałobnego numeru t. j. mającego być poświęconym historykom zmarłym w czasie wojny. Z przedwojennych czasopism historycznych ukazał się pierwszy pookupacyjny zeszyt warszawskiego Przeglądu Historycznego (poświęcony zmarłym historykom warszawskim i reformie uniwersyteckich studiów historycznych), oraz Roczniki dziejów społecznych i gospodarczych (dawniej Lwów—Poznań, obecnie Poznań).

Czasopisma historyczne spełniać muszą trzy główne funkcje: przynosić drobniejsze prace naukowe, służyć krytyce naukowej i wreszcie informować o stanie nauki historycznej. W pierwszych powojennych numerach spotykamy recenzje prac przeważnie **przedwojennych** jeszcze i, jak się zdaje, pisane również nie po wojnie. A przecież ta wielka produkcja historyczna, o której powyżej była mowa, zasługuje na uwagę krytyki!

Znamienne jest natomiast **zainteresowanie, jakie okazuje historii czasopiśmiennictwo niehistoryczne.** Nie ma prawie pisma, któreby nie umieszczało artykułów i notatek treści historycznej; ich charakter zależy oczywiście przede wszystkim od charakteru pisma: czasopisma naukowe przynoszą i w zakresie historii pozycje naukowe, można tu wymienić z pism specjalnych „Bellonę", „Państwo i Prawo", „Przegląd Socjologiczny", z ogólnych „Myśl Współczesną", „Wiedzę i Życie" i „Naukę i Sztukę"; „Życie Nauki" przynosi artykuły i informacje z zakresu metodyki historycznej, organizacji pracy historycznej i życia nauki historycznej.

W pismach literackich i społecznych jest miejsce na publicystykę historyczną, ale przynoszą one też pozycje o znaczeniu naukowym. W okresie przebudowy świata i światopoglądu, a zarazem upolitycznienia życia — przez co rozumiem zbliżenie między producentem a konsumentem wszelkiego typu — taka rola pism społecznych w stosunku do historii wydaje się naturalna. Dalszej i bliższej przeszłości poświęcają uwagę zwłaszcza takie pisma jak „Kuźnica", „Wieś", „Przegląd Socjalistyczny", „Tygodnik Warszawski", z prasy codziennej najwięcej może „Dziennik Polski" (Kraków).

Historia ma dobre miejsce w prasie regionalnej. „Przegląd Zachodni", „Jantar", „Śląsk" obfitują w artykuły, notatki i recenzje historyczne.

Intencją tych wszystkich czasopism jest obsługa czytelnika-niehistoryka z reguły. A zatem bliska tej, jaka przyświeca podręcznikowo - syntetycznej produkcji książek historycznych. Jakkolwiek na łamy pism wędrują i fachowe oceny krytyczne historyczne — przeważnie z braku właściwej dla nich trybuny — to przecież czasopiśmiennictwo to nie może wyręczyć specjalnych organów prasowych historyków.

SAMOTNICTWO

Zadaniem fachowej prasy historycznej musi być przede wszystkim skupienie myśli historycznej, stworzenie ośrodka wymiany poglądów historycznych.

Dzisiaj historyk znajduje się z reguły w izolowanym kręgu własnych przemyśleń i własnych koncepcyj, kiedy właśnie jak nigdy potrzeba zespołowej — społecznej rewizji podstaw myślenia historycznego i metod badań historycznych, dzisiaj kiedy żywo odczuwa się **niewystarczalność lub nieprzydatność umiejętności tradycyjnej i form tradycyjnej konstrukcji historycznej,** dzisiaj kiedy **rozpiętość między rolą historii w naszym życiu i zainteresowaniach a dezorientacją metodyczną historiografii i jej bezradnością wobec życia jest ogromna.**

W parze z terytorialną atomizacją życia umysłowego w Polsce, o której wspomniałem na początku tego sprawozdania, zjawia się groźniejsze od niej (częściowo związane z nią) samotnictwo intelektualne wśród historyków polskich.

Stanisław Śreniowski

JERZY POMIANOWSKI

MOSKWA — RYGA — KRÓLEWIEC

I.

Pocięta siecią kanałów i odnóg rzecznych Ryga przewędrowała parokrotnie spod jednego płatu pod drugi, po czym zniknęła nam z oczu: lotnisko otoczone było wysokimi wydmami nadmorskimi, pokrytymi rzadkim ale wysokopiennym lasem sosnowym. Gołe wiązania hangarów, kapitanat lotniska w tymczasowym baraku z tarcic. Kilka niemrawych figur w starych sino - zielonych mundurach, apatycznie gmerzących w stosach pogruchotanych części Messerschmidtów, Junkersów i Fokke - Wulfów. Oto pierwsze wrażenia. Było przeraźliwie zimno. W Moskwie powietrze skrzyło się od mrozu, ale dzień był bezwietrzny. Tu zaś żelazny wiatr morski siekł prosto w oczy sucnym śniegiem. Myśl o dalszym locie, w przemarzniętym nawskroś, metalowym pudle samolotu była po prostu nie do zniesienia, tym bardziej, że Ryga zaczęła już demonstrować nam z kolei swoje powaby: w miniaturowym bufecie buzował ogień w żelaznym piecyku, lada była zawalona pieczywem, wędlinami, pudełkami papierosów i puszkami szprotek, a piwo miało szereg niewątpliwych zalet. Były to zjawiska nader pocieszające, które mimo woli nauczył się cenić każdy mieszkaniec Europy współczesnej Mój towarzysz podróży — pan R. był jednak Amerykaninem, to też gdy pyzata sekretarka kapitanatu lotniska oznajmiła nam, że warunki metereologiczne pozwalą wystartować samolotowi nie wcześniej niż nazajutrz — westchnąłem z ulgą, natomiast Amerykanin dał energiczny upust swemu niezadowoleniu. Nic go tu nie interesowało; chciał być jeszcze tego samego dnia w Berlinie, by jak najprędzej wystartować w dalszą drogę — do Ameryki.

Podczas gdy auto mijało filigranowe domki i wille ryskiego „Strandu", mój sąsiad półleżał z przymkniętymi oczami, dysputując raczej z nudów niż z grzeczności. Na diabła te popasy na jakiejś Litwie? To nie Litwa? Ah, sorry! Zresztą, co za różnica? Kto tu bywał kiedykolwiek!? Głucha prowincja, kuchenne schody Europy!! Co tu ciekawego? Oprócz podróżujących fabrykantów i nałogowych turystów — kogo jeszcze pociągał ten kraj samotnych sosen, wysokich diun — i skąpego słońca, kraj pracowitych małomówów, chłopów, smukłych dzwonnic i przysadzistych zamków baronowskich z szarawego, chropawego kamienia? Omijali go reporterzy, politycy i kupcy. Wieś łotewska była dobrze zagospodarowana, ale importerzy produktów rolnych woleli jednak mieć do czynienia z Duńczykami lub Holendrami. Dla finansjery międzynarodowej przemysł łotewski nie grał roli, jako lokata kapitałów; od roku 1918, t.j. od chwili, gdy Łotwa usamodzielniła się państwowo, tracąc łączność z rynkami rosyjskimi — przemysł tu raczej podupadł. Ryga miała w 1914 r. 520,000 mieszkańców, w 1920 już tylko 380,000. Od czasu klęski Judenicza, który daremnie próbował atakować Petrograd z południo - zachodu, Schneider, Vickers et consortes woleli pakować pieniądze — z podobnym, nota bene, skutkiem — w fińską linię Mannerheima. Któż więc interesował się miłą Łotwą, biedną Łotwą, maleńką Łotwą? Ach, prawda — Niemcy... Istotnie ta ziemia od wieków była odskocznią dla niemieckiej ekspansji na Wschód. Ten naród kształtował się w walce z Niemcami.

II.

W hotelu „Intourista" mieszczącym się n.b. w starym domu, ale czystym, wygodnym, zaopatrzonym w gaz, łazienki i telefony — nie mogłem długo usiedzieć, nie bacząc na zmęczenie i mróz. Ryga urzekła z pierwszego wejrzenia. W hallu spotkałem znów pana R., który — po kąpieli i obfitym obiedzie — był znacznie przychylniej usposobiony względem Rygi, Związku Radzieckiego i Europy, nie dał jednak za wygraną i szermował nie bez wdzięku argumentami typu „ten się śmieje najlepiej...", uprzedzając mnie troskliwie przed możliwymi zasadzkami propagandy.

Miasto jest duże, bardzo miejskie i mieszczańskie — przytym w dodatnim sensie; w każdym niemal z ryskich domów - obszernych, przyciężkich, skromnych i kształtnych — mogli mieszkać pierwsi mannowscy Buddenbrookowie, z dużo większym prawem i powodzeniem, niż w niemieckiej Lubece. Tym nie mniej, Ryga ma własne oblicze. W roku 1282 zgłosiła akces do Hanzy. Tu godzi się przypomnieć, że członkami Hanzy były bynajmniej nie tylko niemieckie miasta; należał do niej i Amsterdam, i Sztokholm, i Nowogród Wielki, i Kraków. Rygę budowali kupcy i żeglarze — pośrednicy między Północą i Zachodem, Wschodem i Południem. Masywne domy o wąskich oknach i stromo sklepionych podsieniach, dobrze chroniące mieszkańców od mroźnych wiatrów bałtyckich — ozdobione są ornamentem, jakby żywcem przeniesionym z Wenecji i kryte miedzianą blachą — jak pałace Kopenhagi. Czworokątne wieże kościelne mają ostrołukowe, gotyckie wykusze, ale — w większości swej — uwieńczone są charakterystycznymi, kopulastymi dzwonnicami, w których nie sposób nie poznać poczciwych rosyjskich cebul cerkiewnych, tyle, że smuklejszych i przyozdobionych nie prawosławnym krzyżem, lecz protestanckim, ogoniastym krukiem. I tak tu wszędzie. Całość architektoniczna ma urok nieprzeparty i decyduje o swoistym obliczu tego — bardzo przecież europejskiego — miasta. Jak widać, t. zw. duch europejski chętnie materializuje się na terenach kondominium Zachodu i Wschodu, nie dbając o czystość rasy; co więcej obecnie już nie sposób mówić o kulturze europejskiej nie biorąc pod uwagę rezultatów tego dobroczynnego współdziałania i korelacji.

Nie bacząc na uroki stolicy łotewskiej, na teatralnie - średniowieczną basztę prochowni, na romantyczny i kręty kanał miejski, na stare mury i polichromie jeszcze starszych kościołów — przyznajemy. to istotnie była prowincja — cicha, w miarę zamożna, ale podupadła, pozbawiona perspektyw rozwojowych, pogrążona w rozpamiętywaniu swoich bardzo dawnych, niebłyskotliwych i trudnych dziejów. Tak było do roku 1940. Latem tego roku Łotwa zadeklarowała swój akces do Związku socjalistycznych Republik Radzieckich.

Rewolucja Październikowa miała miejsce w klasycznym kraju nędzy, zacofania technicznego i analfabetyzmu. Fundamenty państwa socjalistycznego zakładane były wśród bezprzykładnych trudności, przez ludzi głodnych, wydziedziczonych, osaczonych z wszech stron, pozbawionych niezbędnych środków doświadczenia i pomocy z zewnątrz. Łotwa natomiast została republiką radziecką w chwili, gdy zwycięstwo socjalizmu w ZSRR było faktem dokonanym i sama wniosła do wspólnego dorobku watrości nader cenne; a mianowicie — wysoki poziom techniczny przemysłu, gospodarki miejskiej, rolnictwa, rzemiosła, dobrą organizację szkolnictwa, spółdzielczości i zdrowotności publicznej, dyscyplinę społeczną i stare, sięgające w głąb mas ludowych, tradycje kulturalne. Ustrój socjalistyczny miał więc tu handicap decydujący o błyskotliwym i pouczającym sukcesie. Tu trzeba jednak wnieść poprawkę na wojnę i okupację niemiecką. Pomoc potężnego państwa z jednej strony i prerogatywy starej europejskiej cywilizacji — z drugiej, oto przesłanki nowego rozwoju Łotwy w warunkach, które winny jak najżywiej interesować każdego europejczyka.

Łaziłem po ulicach Rygi do późnej nocy — i od wczesnego ranka następnego dnia, tropiąc i kolekcjonując dowody i rezultaty symbiozy łotewskich tradycyj cywilizacyjnych z socjalistycznym doświadczeniem gospodarki radzieckiej. Jak też radzi sobie sławetny duch europejski, czy nie szkodzą mu — nie mniej sławetne — miazmaty Wschodu? Towarzyszył mi młody prozaik łotewski, zdemobilizowany niedawno z Armii Czerwonej: poznaliśmy się w swoim czasie w moskiewskim klubie literatów. W Rydze natknął się na mnie zupełnie przypadkiem w chwili, gdy podziwiałem był właśnie pomnik Wolności — u zbiegu bulwaru Aspazji i Kalku Iela — przedstawiający mocno stylizowaną figurę kobiecą z trzema gwiazdami w podniesionych dłoniach, stojącą na zawrotnej wysokości gładkiego, kamiennego graniastosłupa. Znajomek wyjaśnił mi natychmiast, że trzy gwiazdy odpowiadają trzem prowincjom łotewskim, oraz, że Niemcy przezwali niewiastę z bardzo pięknego tego pomnika „Frau Koniak", czego im żaden Łotysz, jako żywo, nie wybaczy. Dzięki ofiarnej uprzejmości patriotycznego mego znajomka dowiedziałem się zresztą niebawem także o cięższych winach Niemców. Ryga ucierpiała na skutek wojny i okupacji znacznie poważniej, niżby się to mogło na pierwszy rzut oka zdawać. Ilia Erenburg twierdzi, że tylko żywe miasta czymś różnią się wzajemnie, ruiny zaś wszędzie wyglądają jednakowo. Istotnie, zwaliska Starego Miasta ryskiego, gdzie leżą w gruzach najpiękniejsze i najstarsze budowle — jak Dom Czarnogłowych z XIV wieku, katedra św. Piotra, wzniesiona w XV w. — trudno byłoby odróżnić od ruin Podwala czy Rynku. W zapadającym zmroku brnęliśmy po kostki w odłamkach rozbitych stiuków, szczątkach rzeźb i chimer gotyckich, popękanych dachówkach i cegłach, pamiętających czasy Kawalerów Mieczowych, Batorego i Groźnego. Front — do ostatniego dnia wojny — oddalony był od miasta o kilkadziesiąt zaledwie kilometrów i Niemcy — póki mogli — bombardowali tę właśnie starożytną dzielnicę z okrutną, tępą i perfidną metodycznością. Ucierpiały także fabryki, ale wszystkie pracują już pełną parą. — Teraz nie ma u nas bezrobocia — twierdzi mój informator. Mają pracę wszyscy szklarze, włókniarze, radiotechnicy, metalowcy, robotnicy ze stoczni i z cukrowni. No, a inteligenci, naukowcy? — Ależ jakto, co za pytanie! Przecież w zeszłym roku powstała nareszcie łotewska akademia umiejętności, działa już 17 instytutów badawczych! Jakie możliwości miał dawniej młody uczony w tym niebogatym państewku, o 2 niespełna milionach ludności? — Wegetował na nauczycielskiej posadce lub emigrował do wszystkich diabłów! Jeśli budowano fabrykę czy elektrownię, to też montowali ją Szwedzi lub Niemcy. A teraz? Proszę bardzo, w pięcioletnim planie akademii jest 188 tematów najróżnorodniejszych prac i badań. We wsiach działa 400, słyszy pan, 400 klubów i domów kultury! Co? Czy zarobki, mają wartość realną? Ależ — trzeba umieć patrzeć! No, co, głodomorów i oberwańców jakoś nie widać? Prawda? Tego mało? Cóż, wejdźmy do sklepu, proszę przyjrzeć się ryżankom, nie są może piękne, ale proszę pamiętać, że wygląd i strój kobiet więcej nieraz mówi od tablic statystycznych... Byłem oszołomiony elokwencją mego cicerone, chodziłem ze sklepu do sklepu, przecinałem place i ulice. Zaznaczę, że mój rozmówca miał rację: Łotyszki rzeczywiście urodą nie grzeszą. Są zato ubrane dostatnio. Ton ryskiej ulicy nadaje wielka ilość dobrze zaopatrzonych sklepów spółdzielczych; w kampanii o rozwój handlu spółdzielczego, która toczy się obecnie w ZSRR, Łotwa dzierży prym dzięki starym swym tradycjom w tej dziedzinie. Ceny są stosunkowo bardzo niskie, a jakość towarów—szczególnie wyrobów rzemieślniczych spółdzielni wiejskich — doskonała. Anonsuję: w trakcie tej wędrówki odkry-

łem genialnego malarza miejscowego. Nazywa się Bausteniegs i jest podobno człowiekiem zupełnie jeszcze młodym. W jednym ze sklepów wyrobów ludowych i artystycznych (— sklepów tych jest sporo, podobnie jak i księgarń, n.b.!) — widziałem kilka jego obrazów, każdy z których wart jest oddzielnego studium, szczególnie zaś — wstrząsająca — kolorystycznie i kompozycyjnie, uwspółcześniona „Pieta" z ogromną, lśniącą łysiną lekarza na pierwszym planie. Na ogół malują dobrze pod tym przejrzystym i niewesołym niebem. Piszą nieco gorzej; — na prozaikach łotewskich ciążą tradycje naturalizmu i ekspresjonizmu niemieckiego. Poeci kultywują kanony twórczości ludowej. Pisze jednak i działa Andrzej Upits, powieściopisarz o zasłużonej sławie europejskiej, jest obiecujący narybek literacki, sporo wydaje Wydawnictwo Państwowe, pojawił się szereg przekładów — przeważnie z francuskiego i rosyjskiego. Nawiasem — żadnych śladów polityki rusyfikacyjnej dostrzec w Rydze niesposób. Rosjan tu nie wielu i nawet ulice noszą wyłącznie łotewskie nazwy, wypisane na emaliowanych tabliczkach, co nie bardzo sprzyja orientacji w mieście. Jeśli spod odbitego tynku wyjrzy naraz jakiś napis rosyjski, to na pewno najeżony jest „twardymi znakami" i pochodzi jeszcze ze — smutnej pamięci okresu przed.ewolucyjnych rządów carskich. O szowinistach łotewskich — ajsargach — nic jakoś nie słychać od czasu kapitulacji Niemiec Kto tu wspomina zresztą o przeszłości z jakimś żalem? W każdym razie nikt ze 100,000-cznej rzeszy robotników ryskich, z szeregów których rekrutowała się w swoim czasie gwardia Rewolucji Październikowej — słynni strzelcy łotewscy, w czasie minionej wojny — łotewska dywizja strzelecka.

Co do chłopów — to jeszcze w 1940 roku 75,000 bez- i małorolnych otrzymało ziemię w rezultacie radykalnej reformy rolnej. Wieś łotewska jest zamożna; chłopi w 1946 r. nie tylko, że przedterminowo popłacili podatki i oddali kontyngenty, ale ponadto sprzedali państwu z własnych zasobów poważne ilości zboża. Zakupy te dokonywane były w związku z klęską posuchy, która dotknęła centralne okręgi Rosji w tym roku; płacono za zboże bynajmniej nie wódką, lecz gotówką i towarami, wartość rynkowa których przewyższała kilkakrotnie cenę sprzedanego ziarna. Łotwa ma własne nawozy sztuczne; odbudowana elektrownia w Kegumie zaopatruje w prąd nie tylko Rygę, ale i wsie łotewskie. Nic więc dziwnego, że w hotelu częstowano nas befsztykami wielkości po prostu nadprzyrodzonej. Są zresztą bardziej nieomylne sprawdziany dobrobytu i ufności w przyszłość; w roku 1946-tym urodziło się w Rydze dzieci dokładnie dwa razy więcej niż w r. 1939-tym.

Po powrocie do hotelu zastałem mego Amerykanina w hallu, gdzie flirtował zajadle z fertyczną tłumaczką z „Intourystu". Na szyi miał fantazyjnie zawiązany łotewski, samodziałowy pasek od spodni, a na pierś zwisał mu nowiutki FED — doskonały aparat małoobrazkowy fabrykacji radzieckiej. Nie omieszkał mi oznajmić, że aparat udało mu się w Rydze kupić łatwiej i taniej niż w Moskwie, że już fotografował się na tle baszty prochowej, paru kościołów, kanału, Dźwiny i pomnika Frau Koniak, że jutro będzie kontynuował to zajęcie w towarzystwie fertycznej tłumaczki, że miasto nie jest nawet zbyt brudne, że odbudowa idzie, owszem, szybko, że te rosyjskie metody mogą być nie złe, że to jednak wcale ciekawe: stare domy i jednak — kanalizacja, niema bossów — a praca jakoś idzie.

Następnego dnia byłem na lotnisku. W ciasnym bufecie gospodarz zwierzył mi się, że zapewne nie długo tu już będzie popasał: na wiosnę odbudują dworzec lotniczy i otworzą restaurację państwową. Wiatr, jak się zdaje, wiał tu zawsze ze strony zatoki, bo wysokopienne sosny na wydmach przypominały zielone chorągwie: wszystkie ich gałęzie rosły tylko w jednym kierunku, zwrócone kurczowo i jednomyślnie ku lądowi. Padał ciągle jeszcze ten sam suchy i ostry śnieg.

Marzłem straszliwie przez całe półtorej godziny, aż do samego Królewca.

(c. d. n.)

Moskwa, 1947.

Jerzy Pomianowski.

LIST OD GUCIA

Wczoraj dostałem list od mojego siostrzeńca z P. Gucio ma 9 lat i pisze:

„Kochany wujku! Uczę się dobrze i wszyscy mnie chwalą. Wczoraj ciotka Melania powiedziała, że na szczęście nie odziedziczyłem po tobie instynktów. Nie wiem, co to są instynkty, ale mam nadzieję, że się z tego wyleczysz. Wszyscy są tu bardzo źli na „Kuźnicę". Mówią, że pan Żółkiewski to cynik z kresów wschodnich i że nareszcie wyjeżdża do Kairu. U nas w szkole pani mówi o nim całkiem inne rzeczy. Powiedziała, że bił się z Turkami. Nic nie rozumiem. Czy on po to jedzie do Kairu, żeby znów bić się z Turkami? Wszyscy są także źli na ciebie za to, co piszesz. Mówią, że kalacie gniazdo. Jak się to robi? Próbowałem, ale nie wiem, czy to tak. Mówią, że w dzisiejszych czasach jest niepatriotycznie krytykować wady narodowe i zakłamanie. A pani nam w szkole powiedziała, że pan Staszic był wielkim patriotą, bo krytykował wady narodowe i błędy historyczne i tak zawsze robili wszyscy prawdziwi patrioci polscy. To jak ma być, proszę wujka?

Wuj Filip przyniósł dzisiaj „Odrodzenie" z wynikiem głosowania na najlepsze książki. Powiedział, że głosowanie było niedemokratyczne, bo nie wybrali „Dzikuski" i pana Dzikowskiego. Czy pani Dzikuska to żona pana Dzikowskiego? Wuj Filip był bardzo zły, ale potem się udobruchał, i powiedział, że jednak „Odrodzenie" to demokratyczne pismo, bo pan Meissner dostał więcej głosów niż pani Nałkowska, a pan Żukrowski najwięcej, za to, że ładnie napisał o jednej klaczy i jednym Żydzie, co się nawrócił w szafie. Potem znowu wszyscy krzyczeli na pana Żółkiewskiego. Dla czego u nas w rodzinie tak lubią Turków?

Ciocia Melania przyszła po południu i powiedziała, że pan Hoover chce odbudować Niemcy i dać im pół miliarda dolarów. Ciotka powiedziała, że on jest bardzo zły na Polskę, bo przez Polskę Niemcy są głodni. Wuj Filip pewnie także jest bardzo zły na Polskę, bo powiedział, że Hoover dobrze wie co robi i że „Kuźnica" jest cyniczna, bo nie lubi pana Hoovera i jego przyjaciół. Pan Hoover powiedział, że Niemcom brak 9 kilogramów wagi, a Niemkom 2 i ½ kilogramów i że tak nie może być. Że Niemcy są za chudzi, a Polacy za grubi. To pewnie dlatego ciotka Melania wczoraj powiedziała, że musi sobie zrobić kurację odtłuszczającą. Ja sobie pomyślałem, czy Niemcy chudną przez to, że za dużo chodzą. Wuj opowiadał, że z Berlina doszli nad Wołgę i z powrotem, a pan Osmańczyk pisze, że chcą jeszcze raz. To może by panu Hooverowi napisać, żeby im wytłumaczył, że za dużo chodzą?

Ciotka Melania dzisiaj opowiadała, że jutro mają być łapanki. Mają podobno łapać mężczyzn na urzędników do Filmu Polskiego. Wszyscy się bardzo boją, a wuj Filip chciał spać na drzewie. Mnie nie pozwolili wychodzić z domu. Mówią, że jak złapią, to zaraz każą kręcić film. Trzeba kręcić dwa lata, a jak się nakręci, to potem bardzo krzyczą, a najwięcej pan Minkiewicz. Kto to jest pan Minkiewicz? Ciotka Melania powiedziała, że to cynik z Kongresówki i że przez niego pan Hemar zwariował.

Wczoraj wrócił Kazio po amnestii. Wuj Filip powiedział, że to podstęp i wcale nie jest pewny, czy to Kazio, a nie sobowtór. Ale Kazio pokazał miejsce na nodze, gdzie go ugryzł pies dziesięć lat temu i wuj powiedział, że to może jednak Kazio. Ciotka Melania zapytała Kazia, co teraz zamierza robić. Odpowiedział, że się chce uczyć na inżyniera i że się przekonał do demokracji. Wtedy wuj powiedział znowu, że to nie Kazio, a ciotka zaczęła płakać i powiedziała: „Kaziu, więc nie chcesz już wracać do lasu? Na to Kazio odpowiedział: „Niech ciotka sama idzie do lasu, jak lubi. Ja mam dosyć". Potem położył się na łóżku i zaczął gwizdać. Wuj powiedział, że go przekupił pan Rzepecki.

Dzisiaj w gazecie przeczytałem taką wiadomość: „Kanadyjski minister odbudowy Howe oświadczył, że Kanada tworzy zapasy „plutonu", materiału, z którego obecnie w Stanach Zjednoczonych produkowana jest bomba atomowa. Minister wyjaśnił, że ilość plutonu, która może pomieścić się w wiecznym piórze, wystarczyłaby jako materiał pędny dla okrętu, który by w ciągu trzech lat miał odbywać podróż naokoło świata".

Wuj Filip powiedział, że Ameryka ma już takie wieczne pióro i że je chowa przed Rosją. Mówią, że jedno Ministerstwo ma jeszcze takie pióro, podobno nawet kilka, i że one mają napęd, bo ministerstwo od dwóch lat płynie i nie może wylądować. Czy na taki okręt, co płynie i nie może wylądować, nie dałoby się wsadzić naszego nauczyciela matematyki?

Całuję wujka mocno

Gucio".

Do druku podał —

Kandyd

T.U.R. i P.P.S. odpowiada prof. St. Ossowskiemu

Prof. Stanisław Ossowski ogłosił w Nr 6 „Kuźnicy" 1947 r. bardzo ciekawy artykuł o pracy naukowej i działalności społecznej Stefana Czarnowskiego. W artykule tym czytamy:

„Czarnowski nie był członkiem partii.. W swoim czasie wstąpił do PPS. Było to — jeżeli się nie mylę — po wypadkach brzeskich i po pacyfikacji południowo - wschodnich województw, kiedy oczekiwało się, że PPS podejmie energiczną walkę z sanacyjnym systemem rządów. Ale jego uczestnictwo w partii nie trwało długo. Nie wiem dokładnie jakie były bezpośrednie motywy wystąpienia. Oportunizm niektórych przywódców partyjnych, konflikt między ideologią i koniunkturalną taktyka, czy zbyt ciasne szranki partii w całości ruchu lewicowego?"

W cytacie tej opuściłem trzy wiersze, które przez pomyłkę znalazły się w cytowanym wyjątku artykułu prof. Ossowskiego.

Stefan Czarnowski nie był nigdy członkiem P. P. S., lecz był tylko członkiem T. U. R. Aż do 1939 T. U. R. był ideologicznie kierowany przez członków P. P. S., lecz nie był organizacją partyjną; w zarządach oddziałów, a nawet w Zarządzie Głównym byli także ludzie, sympatycy P. P. S., którzy nie byli jej członkami.

Jestem jedynym żyjącym członkiem Prezydium Zarządu Gł. T. U. R. (Czapiński, Kopciński i Próchnia nie żyją) tej kadencji wobec tego dzieje krótkiej współpracy Stefana Czarnowskiego znam bardzo dokładnie. Kontakt Czarnowskiego z T. U. R. i jego po krótkim okresie czasu rozejście się z TUR przedstawia się zupełnie inaczej aniżeli to opisuje w swoim artykule prof. Ossowski.

W r. 1931 zawiadomił prof. Zygmunt Szymanowski Prezydium Zarządu Gł. T. U. R., iż Stefan Czarnowski pragnie wstąpić do T. U. R. i wygłaszać odczyty z jego ramienia w lokalach robotniczych. Propozycję tę przyjęliśmy z entuzjazmem. W tym czasie w ruchu naszym czynnym był z pośród ludzi nauki jedynie prof. Zygmunt Szymanowski jako członek P. P. S. i T. U. R. Poza nim ani jeden z ludzi nauki nie życzył sobie nawet luźnych kontaktów z T. U. R. Z pisarzy (pomijając wówczas dojrzewających) jedynie Andrzej Strug pozostał wierny ideałom młodości. Wobec tego praca Sefana Czarnowskiego była dla nas bardzo pożądaną i cenną. Zgodziliśmy się na to, mimo iż wiedzieliśmy, że Stefan Czarnowski był bodajże do r. 1914 sympatykiem narodowej demokraji (pisze o tym także w tym numerze „Kuźnicy" prof. Kotarbiński) później legionistą i zwolennikiem Piłsudskiego, w okresie pomajowym od „lewej strony".

Stefana Czarnowskiego zaprosiliśmy na posiedzenie Prezydium Zarządu Głównego. Czapiński przywitał go bardzo uroczyście. Pierwszy odczyt prof. Czarnowskiego urządziliśmy na Woli. Tam wprowadził go uroczyście Czapiński, który później referował na posiedzeniu Prezydium swe wrażenia. Było to krótko mówiąc rozczarowanie i zawód. Odczyt był zbyt trudny i niezrozumiały dla publiczności wolskiej. Było w nim dużo błyskotliwości, kapitalnych twierdzeń, świetnych spostrzeżeń, lecz jednocześnie dużo niejasności. Odczyt nie tylko nie zadowolił Czapińskiego, lecz i znużył słuchaczy. Postanowiliśmy ponowić próbę organizując drugi odczyt Czarnowskiego na Mokotowie. Kopciński i podpisany przysłuchiwaliśmy się jego wywodom i wrażenia nasze były takie same. Stwierdziliśmy zgodnie iż Stefan Czarnowski mimo olbrzymiej i wszechstronnej erudycji nie będzie prelegentem w lokalach robotniczych. Prof. Kotarbiński w swym artykule potwierdza również nasze ówczesne wrażenia pisząc, iż słuchanie odczytów Czarnowskiego „była to prawdziwa udręka".

Wiadomo iż prof. Czarnowski w ostatnich latach swego życia był zwolennikiem jednolitego frontu. Wyłącznie trudność popularyzacji spowodowała rozluźnienie stosunku między T. U. R, a Czarnowskim. Tylko te powody, a nie rozdźwięki natury zasadniczej wywołały przerwanie wzajemnego kontaktu.

T. U. R. był i jest instytucją oświatową, na posiedzeniach jego organów nie prowadzi się nigdy dyskusyj na tematy polityczne. Wobec tego zagadnienie jednolitego frontu nie mogło wywołać rozdźwięków między nami, a Czarnowskim, zwłaszcza że w tym czasie (1931) sprawa jednolitego frontu jako konkretne zagadnienie taktyczne nie istniała. Powstaje dopiero trzy lata później (w r. 1934) po rozruchach paryskich i komunie wiedeńskiej.

Podaję te fakty do wiadomości publicznej, by sprostować legendy, które rozszerzają także i inni intelektualiści o przedwojennej działalności TUR.

Dr Alfred Krygier

OŚWIADCZENIE

Podpisani przedstawiciele polskiego świata kulturalnego zgłaszają niniejszym swoją pełną solidarność z odezwą intelektualistów francuskich w sprawie zabezpieczenia trwałego pokoju w Europie przez właściwe postanowienia traktatu z Niemcami.

Polska, poza zniszczeniami wojennymi których doznała w stopniu najwyższym ze wszystkich narodów Europy, obrana została przez Niemców jako miejsce zorganizowanej kaźni, zarówno obywateli polskich, jak ludzi zwożonych na jej teren ze wszystkich niemal krajów okupowanych przez armie Hitlera.

Nigdzie zbrodnie niemieckie nie przybrały takich liczebnych rozmiarów i nie odbywały się w sposób tak całkowicie jaskrawy.

Wobec tego naród polski zarówno jako ofiara jak i bezpośredni świadek tego bezprzykładnego w dziejach wojen zjawiska, posiadł też większe niż inne narody kompetencje, gdy chodzi o jego ocenę.

Opierając się na tej dokładnej wiedzy, Polska jest przeświadczona, że tylko wyjątkowe i najbardziej rygorystyczne środki gwarantujące całkowite rozbrojenie i najściślejszą jego kontrolę w połączeniu z rozplanowanym na długie lata demokratycznym programem wychowawczym mogą zapewnić Europie warunki do wydźwignięcia się z ruin i nędzy, spowodowanej agresja niemiecką.

Pobłażliwość polityki ustrojów zachodnich dla Niemców, pewna część opinii krajów dyktowana w imię źle zrozumianego humanitaryzmu, budzi największe obawy i skłania nas do gorącego apelu, aby nie popełnić błędu łatwowierności, która w konsekwencji może przynieść odrodzenie się stłumionych na razie, sił zaborczego nacjonalizmu niemieckiego.

Podpisani przedstawiciele świata kulturalnego wzywają dalsze osoby i organizacje kulturalne w innych ośrodkach polskich do zgłaszania w prasie akcesu do powyższego oświadczenia.

Rada Szkół Wyższych
Związek Zawodowy Artystów Scen Polskich
Związek Zawodowy Literatów Polskich
Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS Pen Klub
Związek Kompozytorów Polskich
Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków
Związek Muzyków RP.

ADAM WAŻYK

Antologia współczesnej poezji francuskiej

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„WIEDZA"

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »KSIĄŻKA«

NOWOŚCI LITERACKIE

GAŁAJ JULIAN — Mystkowice wioska mała
część I — Paweł Łękis, str. 224, zł 250,—
część II — Kameleony, str. 400, zł 350
część III — Krystalizacja, str. 252, zł 250,—
GORKI MAKSYM — Matka, str. 412, zł 360,—
RUDNICKI ADOLF — Profile i drobiazgi żołnierskie, str. 152, zł 60,—
RUDNICKI ADOLF — Wielkanoc, str. 48, zł 20,—
SINCLAIR UPTON — Nafta, 2 tomy, zł 660,—
WASILEWSKA WANDA — Ojczyzna, str. 276, zł 220,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

WKROTCE

KASPROWICZ JAN — Księga ubogich (poezje)
PRIESTLEY J. — Trzej panowie w cywilu (powieść)
SANDAUER ARTUR — Śmierć liberała (zbiór nowel)
SINCLAIR UPTON — Król węgiel (powieść).

„KSIĄŻKA"

Redakcja „KUŹNICY" składa serdeczne podziękowanie amerykańskiemu czytelnikowi F. F. CHOYA M. D. (Yorkwille N. Y.), który ofiarował pismu konia.

PRZEGLĄD PRASY

W ubiegłym tygodniu ukazał się setny numer „Tygodnika Powszechnego". „Tygodnikowi" poświęcano już na łamach „Kuźnicy" sporo miejsca, czy to w zasadniczym artykule Kotta w roku ubiegłym, czy to z okazji polemik czy choćby w tak skromnym dziale, jakim jest niniejszy przegląd prasy. Wydaje mi się jednak, że od daty wydania 50 numeru „Tygodnika" do dnia w którym wydano setny numer tego pisma, sytuacja w kraju zmieniła się o tyle, iż nie rozwodząc się nad merytorycznymi różnicami, jakie nas dzielą od „Tygodnika", mogę sobie pozwolić na skonstatowanie kilku oczywistych choć chętnie pomijanych w rozumowaniu tych, którzy przyglądają się naszym sporom, faktów.

„Tygodnik" reprezentuje dziś w Polsce intelektualny ośrodek katolicyzmu. Grupując w okół siebie ludzi tej miary co ks. Michalski i tego poziomu co Zofia Starowieyska-Morstinowa, Hanna Malewska, Jerzy Zawieyski, Jerzy Zagórski (wymieniam tu przeważnie pisarzy), potrafił przeciwstawić swój program kulturalny programowi, jaki stara się realizować na swoim odcinku „Kuźnicy". Rzecz jasna, że programy kulturalne nie są dziś czymś oderwanym od polityczno-społecznej platformy. Wiedzą o tym w „Tygodniku Powszechnym", wiemy o tym również w „Kuźnicy". Dlatego też w ciągu wielu miesięcy rozmaite spory, dotyczące jakby się zdawało tylko zagadnień literackich, zataczały w istocie krąg o wiele szerszy i polemiści muskali swoimi piórami już nie tylko sprawę Conrada, lecz nakłuwali jednocześnie bolesne miejsca w pozaliterackich koncepcjach swoich przeciwników. Dlatego też polemiki „Kuźnicy" z „Tygodnikiem Powszechnym" były tak ostre i tak impetyczne. Odpłacano nam zresztą pięknym za nadobne i wydaje mi się, że ta długotrwała polemika przyczyniła się do wyjaśnienia wielu spraw ważnych dla kultury polskiej, że dzięki niej właśnie wielu ludzi mogło wreszcie zdecydowanie przychylić się do jednego lub porzucić inne stanowisko.

Jeśli piszę z okazji jubileuszu „Tygodnika Powszechnego" te kilka słów spokojnej i obiektywnej konstatacji ,to bynajmniej nie po to, by proponować „Tygodnikowi" w imieniu zespołu naszego pisma Treuga Dei. Bynajmniej! Jestem pewien, że istnienie „Tygodnika Powszechnego" i istnienie „Kuźnicy" stwarza możliwość szerokiej i płodnej wymiany myśli i że myśli te wymieniać należy jak najczęściej, choćby nawet polemiczny ferwor odbierał im niekiedy polerowaną formę komplementu. Ukształtowanie się parlamentarnego przedstawicielstwa katolików rozładuje niewątpliwie atmosferę politycznego napięcia, jakie panowało w polemikach pomiędzy „Tygodnikiem" i „Kuźnicą". Postulaty bezpośrednio odnoszące się do praktycznego realizowania ideologii katolickiej w życiu narodowym będą mogły być teraz głoszone z trybuny sejmowej. Pismom katolickim w tych warunkach, jak się spodziewam, przypada w udziale misja pogłębiania ideologii katolickiej, wiązania jej z doświadczeniami współczesnego życia społecznego, reprezentowania kulturalnych wartości katolickich itp. Wśród tych pism „Tygodnik Powszechny" cieszy się dużym autorytetem nawet u swoich przeciwników. W zmienionej obecnie sytuacji politycznej na terenie literackim i kulturalnym nie zapanuje naturalnie idylla. Myślę, że nie powinna nawet zapanować! Ale spór, jaki toczy się dziś w Polsce pomiędzy świeckim i katolickim humanizmem jest sporem tak ważnym, że obie strony potrafią na pewno, wykorzystując tę nową sytuację polityczną, prowadzić go na zasadach fair play.

Kolejny (2) numer „Pokolenia" jest znacznie lepiej skonstruowany niż omawiany przeze mnie w poprzedniej kronice numer 1. Znajdujemy tu artykuł Krzysztofa Gruszczyńskiego na temat szkół wyższych: „Przewrót w Monaco". Autor stwierdza, iż jak dotychczas pomiędzy młodzieżą akademicką i światem pracy trwa rozdział, który w następstwie prowadzi do rozdźwięku pomiędzy przyszłą inteligencją i światem pracy. Gruszczyński nawołuje do „zwiększenia pojemności kursów przygotowawczych i wstępnych" czyli do demokratyzacji wyższych uczelni z jednej strony przez umożliwienie dopływu nie tylko młodzieży mieszczańskiej ,lecz i robotniczo-chłopskiej, z drugiej zaś strony domaga się rewizji programu studiów, które — jego zdaniem — całkowicie nie odpowiadają z ideologicznego punktu widzenia potrzebom „inteligencji ludowej".

Polemikę z artykułem Romana Bratnego, zamieszczonym w numerze porzednim prowadzi Jacek Bocheński w artykule „Minimum programu". Bocheński zbija antyhistoryczne i antyhumanistyczne sądy Bratnego o literaturze, przeciwstawiając im tezę o historyczności literatury i o jej prostej zależności od dziejów i od układu świata. W szczegółach Bocheński słusznie wykazuje całą naiwność nowego rzekomo programu literackiego, jaki w poprzednim numerze „Pokolenia" głosił Bratny. Miejmy nadzieję, że w środowisku młodych pisarzy zwycięży program — minimum Bocheńskiego — program ten ma przynajmniej tę zaletę, iż jest zgodny z dotychczasową tradycją kulturalną.

Sprawy uniwersyteckie raz jeszcze powracają na łamach „Pokolenia", a to pod piórem Marii Janion i Hanny Kulągowskiej. „Im trudniej tym lepiej, czyli dobrowolne męczeństwo humanistów" — to głos wołającego na puszczy w sprawie „unaukowienia humanistyki". To nie żarty! Obecny program studiów humanistycznych nie opiera się o żaden „określony i konsekwentny system badawczy". Autorki domagają się również rozszerzenia zakresu studiów nad literaturą", aby znajomość historii literatury jednego przynajmniej narodu była nie węższa niż w dotychczasowym magisterium polonistycznym. Aby wiedza o historii kultury nie była znajomością kostiumów i obyczajów, ale głębokim rozumieniem uwarunkowania społecznego, gospodarczego i politycznego". Autorki domagają się, zapewne w imieniu licznej grupy studentów, by Ministerstwo Oświaty wprowadziło „magisterium z teorii literatury".

Godne pochwały jest również trafnie skierowane zainteresowanie dla literatury obcej. W Nr 2 mamy przekład noweli Hemingwaya.

Wreszcie na ostatniej stronie znajdujemy słuszną i dowcipną recenzję z obliczonych na zły smak drobnomieszczańskiej publiczności „Zakazanych piosenek".

W sumie drugi numer „Pokolenia" spełnia w wielkiej mierze te wszystkie postulaty, jakie wysuwałem pod adresem tego dwutygodnika poprzednio. Oczywiście, nie przypuszczam by ta zmiana była wynikiem moich uwag! Poprostu sam układ zainteresowań młodego środowiska intelektualistów wysuwać dziś będzie na plan pierwszy np. zagadnienie struktury studium polonistycznego, zaś przesuwać na plan dalszy — opisy choćby najbardziej bohaterskich czynów bojowych lub spory o tego lub innego dowódcę AK. To też dobrze się stało, iż nowy numer „Pokolenia" (grzeszący ciągle jeszcze nadmierną długością artykułów) posiada wyraźny plan redakcyjny, artykuły dotyczą zagadnień najbliżej związanych z życiem dzisiejszego pokolenia dwudziestoletnich. Sprawy uniwersyteckie, sprawy treści ideowej nauki podawanej młodym, sprawy polityczne (proces Rzepeckiego), sprawy ideologiczne, dyskusje programowe młodych pisarzy, informują o bieżącym życiu kulturalnym. Wchodzimy bowiem zdecydowanie na tory normalnego rozwoju naszego kraju, partyzanckie oddziały zastępuje dziś armia regularna, młodzi ludzie z kanałów i lasów powracają do bibliotek i laboratoriów. Ten błogosławiony podział pracy napewno sprzyja kulturze, to też oddajmy Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie... **ph.**

ZAWIADOMIENIE

W dniu 12.2 1947 r. Sąd Koleżeński przy Zarządzie Głównym ZZLP w składzie: Julian Przyboś — Przewodniczący, Władysław Rymkiewicz i Adam Ważyk — Sędziowie, Wanda Żółkiewska — Protokólantka rozpoznawał sprawę z oskarżenia kol. Jana Nepomucena Millera o zamieszczenie w numerze 1 dwutygodnika „Warszawa" z dn. 12 stycznia 1947 roku oświadczenia, znieslawiającego kol. Pawła Hertza i biorąc pod uwagę,

że w myśl §§ 25 i 26 Statutu ZZLP Sąd Koleżeński przy Zarządzie Głównym ZZLP nie jest właściwy do rozpoznania powyższej sprawy,

że natomiast celem niepozbawienia stron odwołania się, sprawa powyższa winna być rozstrzygnięta przez Sąd Koleżeński I instancji,

że z mocy § 26 Statutu ZZLP Sąd Koleżeński uważa za wskazane, żeby sprawa niniejsza była rozpatrzona przez Sąd Koleżeński przy Oddziale Łódzkim,

że w liście z dn. 27 stycznia 1947 r. kol. Jan Nepomucen Miller usprawiedliwił swoją nieobecność złym stanem zdrowia

postanawia

1) przekazać rozpoznanie niniejszej sprawy Sądowi Koleżeńskiemu przy Oddziale Łódzkim ZZLP jako Sądowi I instancji z równoczesnym wyznaczeniem terminu sprawy na dzień 10 marca 1947 r.,

2) zobowiązać kol. Jana Nepomucena Millera do osobistego stawiennictwa na rozprawę, a w razie niemożności przyjazdu do złożenia wyczerpującego wyjaśnienia na piśmie,

3) na rozprawę w dn. 10 marca br. wezwać powołanych przez kol. Hertza świadków,

4) tekst niniejszego postanowienia ogłosić w prasie.

Podpisano:
Julian Przyboś
Władysław Rymkiewicz
Adam Ważyk

Łódź, dn. 12.2 47 r.

Koty

Kara Mustafa na Kubie.

W demokratycznym Meksyku istnieje zupełna swoboda prasy, która objawia się tym, że jest zupełna wolność dla wszelkiego rodzaju harców i popisów znawców polityki międzynarodowej. Otóż w jednym z pism, w reakcyjnych „Novedades" uwił sobie niedawno gniazdko niejaki p. Rafael Miralles Bravo, b. attache prasowy Kuby w Moskwie, który zapałał specjalnym zainteresowaniem do spraw polskich i poświęca stale dłuższe ogniste sążniste artykuły. Skąd to zainteresowanie dyplomaty kubańskiego? Otóż w Ameryce Południowej i Środkowej są rządy związane z kołami kapitału pewnych wielkich mocarstw zainteresowane właśnie w szerzeniu zamętu i niepokoju. Znamy rolę, jaką właśnie delegat Kuby odegrał w dyskusji nad sprawą Hiszpanii w ONZ. Lud kubański pragnie wolności Hiszpanii — jej delegat dr. Belt specjalizował się w złośliwych próbach torpedowania wniosków o rozwiązanie zagadnienia hiszpańskiego. Pan Rafael Miralles Bravo jest właśnie tegoż dra Belta tubą propagandową.

W ostatnim swym artykule „Lo que ahora sucede con la republica socialista de Polonia" (Co się obecnie dzieje w republice socjalistycznej Polski) pan Miralles Bravo (co w języku hiszpańskim znaczy „dzielny") pisze, że źródła obecnego stanu rzeczy w Polsce należy szukać w zachowaniu się Związku Radzieckiego podczas wojny. Mianowicie podczas gdy „Wielka Brytania i Stany Zjednoczone poświęcały swe najlepsze wysiłki na uzyskanie zwycięstwa... Rosja, bardziej zręczna politycznie czekała ze swym przygotowaniem wojskowym... aby przygotować nową piątą kolumnę...". Hm, więc niby podczas gdy Rosjanie stali z bronią u nogi, ćwiczyli się na bezpiecznej wyspie i politykowali, Anglicy i Amerykanie krwawili pod Stalingradem? Niechże i tak będzie... Ale słuchajmy dalej dyplomaty z kraju rumby: „przy wszystkich błędach, które można zarzucić rządowi generała Sikorskiego, który był winien spóźnionej polskiej mobilizacji, nie można nie zapomnieć, że był jedynym, który walczył do końca...". Jakto więc to generał Sikorski był winien nie przygotowaniu wojskowemu Polski przed 1939? A myśmy dotychczas myśleli, że właśnie Sikorski ostrzegał przed nieprzygotowaniem, ale może naprawdę pan Bravo wie lepiej...

No, ale idźmy dalej. Otóż rząd sowiecki stworzył dla „komitetu lubelskiego" (po hiszpańsku piękny tytuł „Junta de Lublin") własne wojsko, na czoło którego potrzebny był jakiś generał polski. Wyciągnięto więc z więzienia Andersa, który zachował „pozory uległości" dla „Junta de Lublin", aby potem dać nura i przemienić się w zaciętego wroga Rosji. Ale tym razem Londyn wycofał swe uznanie dla rządu wygnanego i wziął udział w przemianie „Junta de Lublin" na Rząd Jedności Narodowej, i namówił jeszcze na grzech Mikołajczyka, który wszedł teraz do rządu powstałego ze zlania się rządu emigracyjnego i „Junty" z Lublina i „materialnie naciśnięty w Moskwie" („Materialmente preso en Moscu") został wicepremierem „rządu marionetkowego" w Warszawie.

„Dalszy ciąg" — pisze pan Bravo — „jest łatwy do odgadnięcia: zdrada powstania warszawskiego z generałem Borem przez Armię Czerwoną, ciągłe czystki, wreszcie pogrom w Kielcach...".

Teraz wszystko jest jasne. Anders nie chciał zostać generałem Komitetu Lubelskiego, gdyż Rosja, która stała z bronią u nogi podczas gdy Anglo - Amerykanie krwawili i tracili kwiat swej młodzieży w czteroletniej walce, zapałała nienawiścią do rządu emigracyjnego, bo na jego czele stał Sikorski, winien klęski z 1939. Wobec tego Rosja namówiła Mikołajczyka na udział w rządzie w charakterze wicepremiera, po czym zdradziła powstanie warszawskie i urządziła na dodatek pogrom w Kielcach... Czy nie przypomina się nam z czasów dzieciństwa wierszyk: „Gdy Kara Mustafa wielki wódz Krzyżaków przeszedłszy Alpy walił wprost na Kraków — Do obrony kraju zawsze będąc skory — pobił go pod Grunwaldem król Stefan Batory..."? **jr.**

Rozmowa z Julianem

On: Kto na prawdę słyszy poezję w pieśniach i odach Horacego?

Ja: Każdy.

(por. „Odrodzenie" Nr 9 (118). Julian Przyboś: Zapiski). **żłk.**

Niejaki Homer i niejaki „jak"

Niejaki „jak" w nr. 9-tym Odrodzenia próbuje wypowiedzieć, jak bardzo mu się nie podobało to, co napisałem w „Kuźnicy" o „Homerze i Orchidei" Gaycego. Niestety, „jak" chce się poza tym popisać dowcipem — i oto opłakane skutki. Proszę rozsądzić.

Wyrażając w mojej recenzji opinię, że utwór Gaycego wskazuje na duże zdolności młodego autora, ale jest jednocześnie zbyt młodzieńczy i niedojrzały na scenę, przytoczyłem przy tej okazji dość popularne zdanie ludzi teatru, którzy twierdzą, że trzeba pięć utworów scenicznych napisać, aby piąty pokazać na scenie. Tego sądu nie uważam oczywiście za żadną regułę.

A na to niejaki „jak":

„A kiedy nieżyjący Gaycy ma napisać te dalsze cztery, by nareszcie nauczył się pisać?"

Pomijając wulgarność, z jaką „jak" pozwala sobie dowcipkować na temat tragicznie zmarłego młodego autora, o którego osobie pisałem z całym szacunkiem — odpowiedzieć mogę tylko, że nie wiem kiedy. Ale co to ma wspólnego z cechami tego jedynego utworu, o którym mowa? I czy utwór ten musi być dojrzały dlatego, że już nie ma dalszych?

Ale to jeszcze nic. Proszę posłuchać dalej:

Przytaczając mój opis utworu, określający go, jako nieugruntowaną w żadnej rzeczywistości historycznej, dowolnie pomyślaną baśń o życiu i losach mitycznego Homera — niejaki „jak" pisze: Bardzo ciekawy zarzut! Żuławski zapewne zna sztuki o Homerze ugruntowane w rzeczywistości historycznej. Czekamy na tytuły. A może posiada nieznane dokumenty świadczące, że niejaki Homer istniał? Bo jak dotąd tenże sam Homer jest „nieugruntowany w żadnej rzeczywistości historycznej".

Niejaki panie „jak"! Sam Homer istnieje istotnie tylko w naszym domniemaniu, ale nie jako bezczasowa fantastyczna postać, lecz jako autor bardzo konkretnych utworów — „Iliady" i „Odysseji" — utworów całkowicie swoim istnieniem ugruntowanych w odpowiedniej rzeczywistości historycznej. Jeżeli Homer jest domniemany tylko dzięki tym utworom i jeżeli odgadując jego losy wiąże się je tak ściśle z jednym z tym konkretnych utworów (jak to zrobił autor omawianej sztuki wiążąc losy Homera z „Odysseją") — nie można jednocześnie ignorować tej rzeczywistości historycznej, w której powstawała „Odysseja", bo wychodzi bezsens, powstaje dzieło literacko niedojrzałe.

I to właśnie mam do zarzucenia sztuce p.t. „Homer i Orchideja", A niejaki „jak" lepiejby zrobił, gdyby nauczył się rozsądnie myśleć zanim zacznie się wypowiadać. Nie byłoby co prawda wierszówki, ale za to nie byłoby też kompromitacji. **Juliusz Żuławski**

Prawidłowość w kulturze

Czytanie klasyków dostarcza najróżnorodniejszych przyjemności.

W głośnej ongiś (tłumaczonej w 1884 r. na język polski) książce Herberta Spencera „Wstęp do socjologii" znajdujemy przytoczone takie przezabawne rozumowanie. Jakiś anglikański teolog Kingsley w mowie swej „o granicach ścisłej umiejętności w zastosowaniu do historii" tak zwalcza idee determinizmu w naukach humanistycznych: „Powiadacie, że prawa, rządzące ludzkim życiem prawdopodobnie są tak samo niezłomne, jak i prawa materii. Niech sobie tak będzie: ale w jakiż to właściwie sposób są prawa materii niezłomne? Czy tylko niezłomność taką znajdujemy w prawie na pozór najbardziej stałym i najogólniejszym? Czyż w naturze nie istnieje ciągła walka prawa z prawem, siły z siłą, wskutek której w naturze powstaje właśnie ta niezmierzona i zadziwiająca różnorodność zjawisk? Czyż nie może każdej chwili jedno prawo skrzyżować działanie drugiego, tak że pierwsze, chociaż i walczy o pierwszeństwo, drugiemu na długi czas ustąpić musi? Wszak prawo ciężkości jest dostatecznie stałe: a jednak czyż wszystkie kamienie spadają na ziemię? Zaiste nie, jeżeli tylko spodoba mi się jeden z nich w biegu schwycić i w ręku zatrzymać. Tu pozostaje on w spoczynku wskutek stałych praw, a prawo ciężkości również dalej trwa i sprawia, że ciężar kamienia czuję w ręku, a jednak nie upadł on na ziemię i nie upadnie, póki go nie upuszczę. Co do możliwości więc prawo ciężkości pozostaje niezmienne, ale w rzeczywistości ustąpiło innym". Jednym słowem o losach praw natury decyduje „czy mi się spodoba" to lub owo zrobić.

Jak przyjemnie pomyśleć, że dzięki Spencerowi i paru postępowcom, entuzjastom rozumu i nauki już w Warszawie przed 60 laty, za czasów najmilszego Rzeckiego śmiano się z tego rozumowania czcigodnego teologa-indeterministy. **żłk.**

Żak a Maupassant

„Dziennik Łódzki" ma zwyczaj na ostatniej stronie swego dodatku niedzielnego zamieszczać krótką nowelkę lub opowiadanie, będące najczęściej przeróbką tego rodzaju utworu któregoś z popularnych pisarzy dawniejszej doby. Autorowi pierwowzoru należy się satysfakcja w postaci umieszczonego obok nazwiska opracowującego uzupełnienia: „według"... „na podstawie"...

W numerze 11 „Panoramy" p. L. Żak niezbyt honorowo poczyna sobie z Guy de Maupassant'em podpisując wyłącznie swym nazwiskiem bardzo nieudolnie skróconą nowelę, która zatytułował: „Naszyjnik". „La parure" (tytuł oryginału) jest utworem należącym do lektury szkolnej, a więc znanym bardzo szeroko. Niełądnie p. Żaku. **dsz.**

JAK ZAPRENUMEROWAĆ »Kuźnicę«

Kuźnicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VI.-567 z zaznaczeniem „prenumerata Kuźnicy" oraz podać dokładny adres własny.

PRENUMERATA
łącznie z przesyłką wynosi: miesięcznie 60 zł, kwartalnie 180 zł

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
D—012780 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.